

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

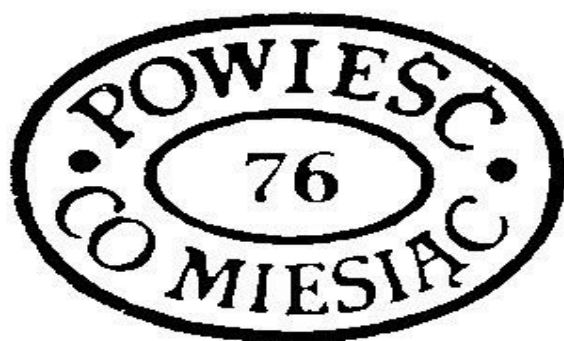
Wojciech Letki
ZBRODNIA
PRAWIE DOSKONAŁA



SKRY . WARSZAWA .

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Wojciech Letki
ZBRODNIA
PRAWIE DOSKONAŁA



— Proszę, może pan zapali — kapitan Jacyna podsunął mleczarzowi paczkę papierosów i zapalniczkę. Przez chwilę obserwował, jak tamten skwapliwie ugniata w palcach „klubowego“, a później przysunął do siebie blankiet protokołu.

— Proszę opowiedzieć wszystko po kolei. Od jak dawna znał pan Zamiarowicza?

— Faktycznie to ja go tak za bardzo nie znałem — mleczarz wypuścił duży kłąb dymu. — Chyba ze trzy lata mleko mu przynoszę, ale widzieć go. to widziałem sums sumarum może pięć razy. Nie wypada niby źle mówić o nieboszczyku, ale to był

kawał nerwusa. Raz, pamiętam,

o piątej rano na schody wyleciał i z gębą do mnie, że butelkami brzęczę i spać mu nie daję. A co ja na to poradzę —

butelka szklana, to musi czasem brzęknąć. no nie? Zresztą może i nie był zły; na Nowy Rok zawsze dwie dychy zostawiał pod butelką...

— Ale skąd przyszło panu dzisiaj do głowy, że coś mu się mogło stać? — przerwał kapitan, pstrykając machinalnie długopisem.

— No bo przedwczoraj butelki nie wystawił. Każdy może zapomnieć, więc zostawiłem mu mleko i kartkę, że butelki nie było. Dzisiaj rano przychodzę — a tu mleko nie tknięte stoi!

Więc spytałem ciecia — to znaczy dozorcę — czy pan Zamiarowicz nie wyjechał, bo mleka nie bierze. A dozorca na to, że chyba nie, bo w mieszkaniu okno otwarte. Więc wróciliśmy pod drzwi i dawaj dzwonić, stukać, wreszcie dozorca mówi, że może on zasnął albo co... Zawiadomił milicję, drzwi się otworzyło, wchodzimy — a tu pan Zamiarowicz leży na dywanie.

Na mój rozum to serce mu nawaliło.

—

Jak wyglądało mieszkanie? — rzucił Jacyna nie przestając notować.

— Normalnie — wzruszył ramionami mleczarz. — Czyste, wysprzątane. Wierzyć mi się nie chciało, jak dozorca powiedział, że żona nieboszczyka od dwóch tygodni siedzi w sanatorium. Kiedy moja kobita pojechała do ciotki na pięć dni, to po powrocie mieszkanie musiała odnawiać... Teraz już za żadne skarby nigdzie sama nie pojedzie.

Zachichotał i umilkł zmieszany.

—

A jak były zamknięte drzwi wejściowe?

—

Na dwa zamki, wie pan, takie zatraskowe. Jednego to w ogóle nie dało rady otworzyć, trzeba było wyważać.

—

No dobrze, dziękuję panu, to na razie wszystko — westchnął kapitan. — Proszę podpisać protokół.

Mleczarz podpisał się niewprawnie i zdjął z wieszaka kapelusz.

W progu wyminął go wchodzący kapitan Antosiewicz.

—

Cześć, Jurek! — ucieszył się Jacyna. — Jeszcze nie jesteś na urlopie?

—

Właśnie jutro wyjeżdżam nad morze, przyszedłem się pożegnać.

— Dokąd wyjeżdżasz?

—

Do Mielna. Dosłownie w ostatniej chwili udało mi się załatwić wczasy.

—

Masz szczęście. A ja muszę ślęczeć tu w taki upał...

Antosiewicz rozsiadł się wygodnie na biurku i bez pytania sięgnął po papierosa.

— Jakaś nowa sprawa? — zapytał.

— Postaw kawę, stary skąpcu, to ci opowiem — Jacyna uśmiechnął się znacząco. — Nie pożałujesz.

— A bez kawy nie możesz?

— Bez kawy zasnę.

— Szantażujesz mnie, Andrzej, ale trudno. Niech ci będzie. Przyniosę z bufetu.

Po kilku minutach obaj wdychali przyjemny aromat mocnej kawy.

— No więc słuchaj — Jacyna pociągnął spory łyk i twarz mu się rozjaśniła. — Teraz czuję, że żyję. Doskonala. Ale do rzeczy.

Dziś rano znaleziono w zamkniętym mieszkaniu nieżywego faceta.

Niejaki Andrzej Zamiarowicz, lat 55, z zawodu kreślarz, nie karany. Był w mieszkaniu sam — żona wyjechała do Buska, do sanatorium. W pierwszej chwili myślałem, że to zawał, ale lekarz rozpoznał zatrucie, najprawdopodobniej akonityną.

— Więc samobójstwo? — wzruszył ramionami zawiedziony Antosiewicz.

— Moim zdaniem nie. Posłuchaj: na biurku leżał list zaadresowany do żony denata, w zaklejonej kopercie, ze znaczkiem. Treść banalna, nie wskazuje na depresję psychiczną, zresztą trudno sobie wyobrazić, żeby samobójca naklejał znaczek na ostatni list. W dodatku — samobójstwo za pomocą akonityny? Mógłby chyba użyć jakiejś trucizny łatwiejszej do zdobycia i powodującej łagodniejszą śmierć. Na przykład duża ilość środków nasennych powinna wystarczyć zważywszy, że miał

wadę serca — w biurku znaleźliśmy wyniki EKG. Nie, stary, to nie wygląda na samobójstwo. On został otruty.

— W czym podano mu truciznę?

— Nie wiem — mruknął Jacyna. — Czekam właśnie na wyniki sekcji. W ogóle niewiele o nim wiem. Nawet dozorca nic specjalnego nie umiał powiedzieć. Mogę stwierdzić tylko jedno: Zamiarowicz był strasznym pedantem, co po prostu rzuca się w oczy. Zastaliśmy mieszkanie idealnie wysprzątane, wszystko ustawione niemal pod sznurek. A już jego biurko to istna kopalnia osobliwości! Szuflady pełne systematycznie ułożonych szpargałów — widokówek z pozdrowieniami sprzed piętnastu lat, starych listów i rachunków za światło, powiązanych w schludne paczuszki. Jakieś notesy, spinacze, dziesięć gatunków papierosów, kilka różnych papeterii — a wszystko nie tknięte, przechowywane prawdopodobnie na „wszelki wypadek“. Na biurku blok listowy, pudełko rozmaitych kopert, kilkanaście długopisów i idealnie zatemperowanych ołówków, nawet specjalne pudełeczko do znaczków pocztowych. Jednym słowem —

zapasy na dziesięć lat utrzymane w takim porządku, że z dziką przyjemnością narobiłbym tam bałaganu.

Zadzwonił telefon. Jacyna podniósł słuchawkę i przez dłuższą chwilę coś notował.

— Tak, dziękuję — rzekł wreszcie. — Protokół możecie przysłać jutro, nie pali się. Do widzenia.

— No i co? — trącił go Antosiewicz. — Są wyniki sekcji?

— Tak — mruknął Jacyna. — Zamiarowicz nie jadł nic co najmniej trzy godziny przed

śmiercią. Prawdopodobnie pił
trochę herbaty.

— Więc podano mu truciznę w herbacie?

— Nie znaleźliśmy wprawdzie przy nim szklanki ani filiżanki, ale nie widzę innej możliwości. Ktoś go odwiedził, pili razem herbatę i gość w jakiś sposób dodał akonitynę do szklanki Zamiarowicza. Później umył naczynia i zatarł ślady, by upozorować zawał. Wychodząc zatrzasnął za sobą drzwi.

Przesłuchaliśmy wszystkich lokatorów z tej klatki schodowej, ale nie widzieli nikogo obcego. Zresztą zgon nastąpił około dziesiątej wieczorem; o tej porze mało kto wychodzi z mieszkania. Morderca mógł się wymknąć bez trudu.

Antosiewicz skrzywił się.

— Równie dobrze mógł to być ktoś, czyja obecność nie wzbudzała żadnych podejrzeń : chociażby sąsiad lub dozorca.

— Oczywiście — Jacyna odstawił pustą szklankę na biurko. —

Dlatego z niecierpliwością oczekujemy żony Zamiarowicza; tylko ona może stwierdzić, czy z mieszkania coś zginęło.

Zawiadomiliśmy ją przed godziną, jutro rano powinna być już w Warszawie.

— No, to życzę ci powodzenia — rzekł Antosiewicz wstając. —

Muszę lecieć, bo obiecałem pomóc żonie w pakowaniu.

— Zaczekaj, ja też idę.

Jacyna szybko zgarnął papiery do szuflady, zamknął biurko i zapiął mundur. Wyszli z pokoju. Na korytarzu minął ich milicjant w przemoczonym płaszczu.

— O, do licha — zaklął Antosiewicz. Ładny początek urlopu, nie ma co!

— Wiesz co, Jurek, trzeba było jechać do Bułgarii —

doradził złośliwie Jacyna. — Tam kożuchy dużo tańsze, mógłbyś to lato prezimować... Ale co tu się dzieje?

Z dyżurki dobiegały jakieś okrzyki i odgłosy szamotaniny.

Jacyna szarpnął kłamkę, otwierając szeroko drzwi. W niewielkim pokoiku dwaj milicjanci trzymali za ręce chuderławego człowieczka, który wyrywał się, tłumacząc coś bełkotliwie. Na widok oficera przycichł zresztą momentalnie i usiadł, wypuszczając z rąk ściskany dotąd kurczowo wzorzysty krawat.

— No proszę, nasz stary znajomy, pan Wojciech Makowski —
rzekł kapitan. — Zalany jak zwykle. Co on znowu wyprawia?

Sierżant Pawlak poprawił czapkę.

— Uparł się, żebyśmy włożyli jego krawat, to nam robi kolorowe zdjęcia. W końcu chciał mi wiązać ten krawat siłą. Nie wiem, co mu przyszło do głowy; gdy go chłopcy znaleźli w parku, spał na ławce grzecznie jak niemowlak.

— Zabierzcie mu aparat, bo go jeszcze uszkodzi po pijanemu

— powiedział Antosiewicz.

— On nie ma żadnego aparatu. — Pawlak z trudem wstrzymywał śmiech. — Chciał nam zrobić zdjęcie pudełkiem od zapalek.

— Ech, Makowski, Makowski — pokiwał głową Jacyna. — Kiedy wy wreszcie spoważniejecie? Popiliście sobie, to trzeba było iść do domu, zamiast rozrabiać po ulicach. Zona z obiadem czeka, a wy jakieś głupstwa... Całkiem żeście przemokli. Okryjcie go na razie płaszczem, bo się stary na śmierć przeziębi.

— Nie ma obawy, już on sobie gardło nieźle wódką zdezynfekował — mruknął pod nosem Pawiak, ale zdjął z wieszaka jakiś płaszcz i rzucił dygoczącemu pijakowi.

—Nareszcie ktoś mnie kocha — oznajmił Makowski podnosząc uśmiechniętą twarz. Później skulił się na krzesło, oparł głowę na dłoni i natychmiast zasnął.

Jednak stare budownictwo ma swoje plusy — pomyślał Jacyna rozglądając się dookoła. Stał pośrodku ogromnego pokoju w smugach światła, wpadającego przez dwa wysokie okna. Z westchnieniem melancholii spojrział, na lśniący kafłowy piec, wspominając wiecznie chłodne kaloryfery w swym malutkim M-3. —

To mieszkanie ma swój styl.

Rzeczywiście, stare meble znakomicie harmonizowały z nietypowym wnętrzem. Filigranowa etażerka, brzuchata szafa biblioteczna, biurko, kanapa, okrągły stolik — wyglądały jak wyjęte z salonu Desy. Kilka pociemniałych obrazów, jakieś stsręńkie fotografie, figurki, drobiazgi rozmieszczone umiejętnie i ze smakiem stwarzały przytulny, „domowy“ nastrój.

— Proszę siadać, czemu pan nie siada? — W drzwiach pojawiła się Irena Zamiarowiczowa. — Podoba się panu ten pokój?

— Bardzo — przyznał Jacyna i przysunął sobie ciemne krzesło z wysokim oparciem.

—Cieszę się, bo sama go urządzałam — uśmiechnęła się.

stawiając na stoliku filiżanki z kawą i jakieś ciasteczka. —

Te meble i drobiazgi to wszystko, co moi rodzice zdołali ocalić przed grabieżą. Gdy wrócili po wyzwoleniu, zastali mieszkanie prawie zupełnie rozszabrowane.

— Jednak sporo zostało.

—Ach... — machnęła ręką. — Ojciec był lekarzem, naprawdę świetnie nam się wiodło. Mieliśmy cztery pokoje...

Kapitan podsunął jej papierosy. Wbrew temu, co wyobrażał sobie początkowo, miał przed sobą elegancką, zadbaną kobietę, a przy tym dużo młodszą, niż można było przypuszczać.

Zauważyła widocznie jego badawcze spojrzenie, bo zmieszała się trochę.

— Muszę panu od razu wyjaśnić, że

trudno. Niech ci będzie. Przyniosę z bufetu.

Po kilku minutach obaj wdychali przyjemny aromat mocnej kawy.

—No więc słuchaj — Jacyna pociągnął spory łyk i twarz mu się rozjaśniła. — Teraz czuję, że żyję. Doskonała. Ale do rzeczy.

Dzisiaj rano znaleziono w zamkniętym mieszkaniu nieżywego faceta.

Niejaki Andrzej Zamiarowicz, lat 55, z zawodu kreślarz, nie karany. Był w mieszkaniu sam — żona wyjechała do Buska, do sanatorium. W pierwszej chwili myślałem, że to zawał, ale lekarz rozpoznał zatrucie, najprawdopodobniej akonityną.

—Więc samobójstwo? — wrzucił ramionami zawiedziony Antosiewicz.

—Moim zdaniem nie. Posłuchaj: na biurku leżał list zaadresowany do żony denata, w zaklejonej kopercie, ze znaczkiem. Treść banalna, nie wskazuje na depresję psychiczną, zresztą trudno sobie wyobrazić, żeby samobójca naklejał znaczek na ostatni list. W dodatku — samobójstwo za pomocą akonityny? Mógłby chyba użyć jakiejś trucizny łatwiejszej do zdobycia i powodującej łagodniejszą śmierć. Na przykład duża ilość środków nasennych powinna wystarczyć zważywszy, że miał

wadę serca — w biurku znaleźliśmy wyniki EKG. Nie, stary, to nie wygląda na samobójstwo. On został otruty.

— W czym podano mu truciznę?

— Nie wiem — mruknął Jacyna. — Czekam właśnie na wyniki sekcji. W ogóle niewiele o nim wiem. Nawet dozorca nic specjalnego nie umiał powiedzieć. Mogę stwierdzić tylko jedno: Zamiarowicz był strasznym pedantem, co po prostu rzuca się w oczy. Zastaliśmy mieszkanie idealnie wysprzątane, wszystko ustawione niemal pod sznurek. A już jego biurko to istna kopalnia osobliwości! Szuflady pełne systematycznie ułożonych szpargałów — widokówek z pozdrowieniami sprzed piętnastu lat, starych listów i rachunków za światło, powiązanych w schludne paczuszki.

Jakieś notesy, spinacze, dziesięć gatunków papierosów, kilka różnych papeterii — a wszystko nie tknięte, przechowywane prawdopodobnie na „wszelki wypadek“. Na biurku blok listowy, pudełko rozmaitych kopert, kilkanaście długopisów i idealnie zatemperowanych ołówków, nawet specjalne pudełeczko do znaczków pocztowych. Jednym słowem —

zapasy na dziesięć lat utrzymane w takim porządku, że z dziką przyjemnością narobiłbym tam bałaganu.

Zadzwoił telefon. Jacyna podniósł słuchawkę i przez dłuższą chwilę coś notował.

— Tak, dziękuję — rzekł wreszcie. — Protokół możecie przysłać jutro, nie pali się. Do widzenia.

— No i co? — trącił go Antosiewicz. — Są wyniki sekcji?

— Tak — mruknął Jacyna. — Zamiarowicz nie jadł nic co najmniej trzy godziny przed śmiercią. Prawdopodobnie pił trochę herbaty.

— Więc podano mu truciznę w herbacie?

— Nie znaleźliśmy wprawdzie przy nim szklanki ani filiżanki, ale nie widzę innej możliwości. Ktoś go odwiedził, pili razem herbatę i gość w jakiś sposób dodał akonitynę do szklanki Zamiarowicza. Później umył naczynia i zatarł ślady, by upozorować zawał. Wychodząc zatrzaskała za sobą drzwi.

Przesłuchaliśmy wszystkich lokatorów z tej klatki schodowej, ale nie widzieli nikogo obcego. Zresztą zgon nastąpił około dziesiątej wieczorem; o tej porze mało kto wychodzi z mieszkania. Morderca mógł się wymknąć bez trudu.

Antosiewicz skrzywił się.

— Równie dobrze mógł to być ktoś, czyja obecność nie wzbudzała żadnych podejrzeń: chociażby sąsiad lub dozorca.

— Oczywiście — Jacyna odstawił pustą szklanę na biurko. —

Dlatego z niecierpliwością oczekujemy żony Zamiarowicza; tylko ona może stwierdzić, czy z mieszkania coś zginęło.

Zawiadomiliśmy ją przed godziną, jutro rano powinna być już w Warszawie.

— No, to życzę ci powodzenia — rzekł Antosiewicz wstając. —

Muszę lecieć, bo obiecałem pomóc żonie w pakowaniu.

— Zaczekaj, ja też idę.

moje małżeństwo nie było aż tak udane, jak sądzą niektórzy.

Oczywiście śmierć męża bardzo mną wstrząsnęła, ale... Widzi pan, nasz związek opierał się ostatnio głównie na przyzwyczajeniu — niech więc się pan nie dziwi, że nie odgrywam dramatycznych scen rozpaczki. Po prostu nie znoszę obłudy...

— Takie postawienie sprawy bardzo ułatwia mi pracę —

odpowiedział Jacyna. — Jeżeli nie ma pani nic przeciwko temu, chciałbym zadać pani kilka pytań.

—Chętnie odpowiem na wszystkie pytania, ale pod warunkiem, że powie mi pan, czy to było samobójstwo.

Kapitan zawahał się. Zamiarowiczowa znieruchomiła z filiżanką uniesioną nad stolikiem, w napięciu oczekując odpowiedzi.

—Myślę, że nie — rzekł niechętnie. — To jest na razie tylko moja teoria, ale podejrzewam, że mąż pani został zamordowany.

Odetchnęła głęboko.

—Tak przypuszczałam.

—Dlaczego? — zapytał szybko Jacyna.

— Trudno mi to wyjaśnić — uśmiechnęła się blado. — Ludzie tego pokroju nie popełniają samobójstwa. On był zbyt... no, zbyt wyliczony i za chytry na taki wyskok. Zawsze dobrze wiedział, czego chce, nigdy sam nie postawiłby się w sytuacji, która nie rokowałaaby nadziei na szybki zysk.

—A nie przyszło pani do głowy, że przyczyną śmierci mógł być po prostu zawał?

—Wtedy nie zajmowałby się pan tą sprawą — odparła.

Dobrze mi tak — pomyślał ze złością kapitan.

—Zresztą mam podstawy do przypuszczenia, że mąż mój był szantażowany — dodała.

—To ciekawe! — ożywił się Jacyna.— Proszę mi o tym opowiedzieć.

—Mniej więcej od roku Andrzej dostawał regularnie co miesiąc dziwne polecone listy. Były to zwykłe niebieskie koperty bez nadawcy, adresowane na

maszynie. Nigdy ich przy mnie nie otwierał, ale po przeczytaniu chodził zawsze zły i zdenerwowany. Kiedyś, próbowałam go o nie wypytać. Skończyło się na tej jednej próbie, bo zrobił mi straszną awanturę i zażądał, żebym nie wsadzała nosa w jego sprawy. Niepokoiliam się coraz bardziej; pewnego razu, gdy zostałam sama w mieszkaniu, postanowiłam przeczytać te listy. Nie było ich jednak w biurku, gdzie przechowywał nie wiadomo po co wszelką, najbanalniejszą nawet korespondencję. Widocznie wbrew swoim zwyczajom niszczył je po przeczytaniu. Byłam już pewna, że zawierały coś złego.

— To jeszcze nie dowód, że chodziło o szantaż — zauważył kapitan.

— Dziś rano upewniłam się ostatecznie — odpowiedziała. —

Byłam w biurze projektów, gdzie mąż pracował. Dowiedziałam się tam, że od pewnego czasu wykonywał jakieś prace zleczone, którymi dorabiał przeszło tysiąc złotych miesięcznie.

Zatajał te pieniądze przede mną.

—No tak — wahał się Jacyna — ale widzi pani, czasami mężczyźni mają... hm, pewne wydatki, o których żony niekoniecznie muszą wiedzieć... Rozumie pani chyba, o co mi chodzi?

Zamiarowiczowa energicznie pokręciła głową.

—To niemożliwe. Mój mąż nie pił w ogóle, a poza tym cały wolny czas spędzał w domu przy swoich znaczkach; był zapalonym filatelistą. Gdyby nawet miał kochankę, musiałabym to zauważyć.

— Więc jednak szantaż? Ale czym mogli go szantażować?

— Nie wiem, zupełnie nie mam pojęcia!

— A czy mąż pani miał wrogów?

— Wydaje mi się, że nie — odparła niepewnie. — Andrzej nie opowiadał mi nigdy o pracy, więc trudno powiedzieć, jak układały się jego stosunki z kolegami. W każdym razie nie słyszałam o poważniejszych zadrażnieniach. Cała jego rodzina zginęła w czasie okupacji. Znajomych prawie nie mieliśmy.

Czasami odwiedzali nas Adamiakowie — moja siostra, Julia, z mężem i synem. Krzysiek,

ich syn, obrazi! się zresztą na mego męża i dawno już go tu nie było.

— Jak to, pokłócili się? — spytał kapitan zapisując coś w notesie.

— Ależ nie! Nic podobnego — zaprzeczyła żywo Zamiarowiczowa.

— Myśli pan, że Krzysiek mógłby zabić? To przecież jeszcze zupełny dzieciak, ma dopiero 22 lata. Pewnego razu mój mąż zrobił kilka niedelikatnych uwag na temat jego długich włosów, Krzysiek wstał bez słowa i wyszedł. Nie było nawet awantury.

Mimo pewnych, powiedzmy, ekstrawagancji w ubiorze chłopak jest miły, uprzejmy i dobrze wychowany. Moja siostra jest nauczycielką, szwagier — inżynierem, zawsze starali się zapewnić mu jak najlepsze warunki.

— Czym się zajmuje ten młody człowiek i gdzie mieszka?

— Jest studentem Wyższej Szkoły Muzycznej, mieszka... —

zastanawiała się chwilę. — Zdaje się, że na Elbląskiej. Nie, nie pamiętam numeru, nie byłam tam nigdy. Siostra opowiadała mi kilka miesięcy temu, że otrzymał kawalerkę, spółdzielczą oczywiście. Jeżeli pan chce, zapiszę panu adres siostry.

Jestem zupełnie pewna, że ani ona ze szwagrem, ani Krzysiek nie mają z tym nic wspólnego.

Kapitan bez słowa podsunął jej notes. Czytelnym, okrągłym pismem zanotowała szybko adres i odłożyła długopis na stół.

— Z nikim innym nie utrzymywaliśmy właściwie stałego kontaktu — westchnęła. — Andrzej nie lubił wizyt, uważał je za stratę czasu. Nie ma pan pojęcia, jakie to czasem było uciążliwe... Gdyby nie praca, zwariowałabym chyba z nudów.

— Gdzie pani pracuje?

— W centrali handlu zagranicznego.

— Ma więc pani zapewne jakieś koleżanki...

— Wydaje się panu. Nie sposób na dłuższą metę utrzymywać więzi towarzyskie z kimś, kogo nie można ani zaprosić do domu na ploty, ani umówić się na dłuższe posiedzenie w kawiarni.

Mój mąż twardo wymagał ode mnie punktualnych powrotów z pracy.

Jacyna uniósł brwi z wyrazem współczucia.

— Jak długo była pani w sanatorium? — zapytał.

— Trzy tygodnie — uśmiechnęła się lekko. — Chodzi panu o alibi? Nie, nie zabiłam Andrzeja. Przez cały czas nie ruszałam się z Buska nawet na godzinę. Mogą to potwierdzić dosłownie wszyscy. Dolać panu kawy?

Kapitan podsunął jej filiżankę.

— Bardzo proszę, kawa jest po prostu doskonała. Chciałbym jeszcze zapytać, kto to jest Sławomir Kluczyński?

— To filatelista mieszkający w Zambrowie. Nigdy go nie widziałam. Mąż korespondował z nim od dłuższego czasu, ale zdaje się, że nie znał go osobiście. Wymieniali znaczki czy coś w tym rodzaju. Nie potrafię nic bliższego powiedzieć o tym człowieku.

— Szkoda. No, ale trudno. Jeszcze tylko jedno pytanie: czy z mieszkania na pewno nic nie zginęło?

— Nie, chyba nic — Zamiarowiczowa rozejrzała się odruchowo. —

Sprawdzałam już cenniejsze ubrania i biżuterię; wszystko jest na swoim miejscu. Radio, telewizor też. W kredensie było kilkaset złotych na bieżące wydatki — nikt ich nie ruszył. Cóż poza tym mogłoby zginąć?

— A mąż pani nie miał nic cennego?

— Nic poza parą srebrnych spinek za sto dwadzieścia złotych.

— Wzrok jej padł na szafę. Urwała i szybko otworzyła oszklone drzwi. Jacyna zauważył, że jedna z półek zastawiona jest ciasno albumami różnej wielkości. Kobieta wyjmowała jeden po drugim. Opróżniwszy zupełnie półkę, odwróciła do kapitana po-bladłą twarz.

— Nie ma... — szepnęła.

—Czego nie ma, spinek?

—Ależ nie! — drżącymi rękami sięgnęła po papierosa. — Jak mogłam zapomnieć! Był tu gdzieś taki mały albumik, oprawny w zielone płótno. Andrzej przechowywał w nim najcenniejsze okazy.

—Jakie to były znaczki?

—Nie potrafię powiedzieć. Nie znam się zupełnie na znaczkach. Po prostu mąż kilkakrotnie pokazywał mi ten albumik mówiąc, że za to, eo w nim jest, można kupić nawet polskiego Fiata.

— I nie zapamiętała pani ani jednego znaczka?

Zamiarowiczowa musiała wyczuć w głosie Jacyny lekkie niedowierzanie.

— Cóż w tym dziwnego? — zapytała ze złością. — A czy pan mógłby wiele powiedzieć na przykład o kosmetykach pańskiej żony? Andrzej wiedział, jak kompletną ignorantką jestem w tej dziedzinie i rzadko pokazywał mi swoje ukochane znaczki.

Denerwowało go, że nie dostrzegam boskiego piękna tych papier-ków. A mnie one naprawdę nie interesowały, zresztą nigdy jakoś nie chciało mi się wierzyć, żeby mogły być aż tyle warte. Może dlatego zupełnie zapomniałam o istnieniu tego albumu.

— Jak on wyglądał?

— Podobny wielkością do tego, który leży przed panem, tylko jasnozielony.

Kapitan w zamyśleniu wziął do ręki pierwszy z brzegu album.

Na okładce widniało słowo „Afryka“. Otworzył. Przed oczami jego zaczęły przesuwać się palmy, egzotyczne zwierzęta, jeźdźcy w burnusach, wojownicy murzyńscy z dzidami, kolorowe, fantastyczne ryby. Dźwięczne nazwy poruszyły w nim jakąś dawno zamarłą strunę.

Ten Sudan z nadrukiem... — pomyślał. — Kapitalny! Albo Wybrzeże Kości Słoniowej! Ale najładniejsze są chyba kolonie hiszpańskie. Albo Mozambik. Albo Angola. Wszystkie są najładniejsze.

Ociągając się zamknął album.

— Kilkanaście lat temu umarłbym chyba z zazdrości, widząc coś takiego.

— Widziałam, jak oczy panu zabłyły — skrzywiła się kobieta. — Wszyscy mężczyźni są jak dzieci.

— Nie, to nie tyle zdziecinnienie, ile tęsknota do czasów, gdy jedynym poważnym zmartwieniem człowieka była klasówka z matematyki. — Jacyna machinalnie przeglądał dalsze albumy.

Nigdzie nie dostrzegął większych luk, wskazujących na kradzież znaczków.

Mogę nie szukać — uświadomił so

bie. — Jeżeli nawet zbrodniarz wyjął stąd znaczki, mógł na ich miejsce włożyć inne, mniej cenne. Miał na to dość czasu. Pod warunkiem oczywiście, że dobrze znał zbiory.

— Czy oprócz Kluczyńskiego mąż pani utrzymywał jeszcze kontakty z jakimiś filatelistami?

— Nie wiem — Zamiarowiczowa pokręciła niepewnie głową. —

Nic nie wiem. Czasami mąż opowiadał mi o jakichś transakcjach, ale były to sprawy doraźne. Zwykle, jak by tu powiedzieć, wychodził na nich bardzo dobrze... Dlatego wołał nie spotykać się więcej ze swoimi kontrahentami.

—Nie rozumiem? — zdziwił się kapitan.

— Ach, nie ma sensu ukrywać, to już i tak nieważne! Po prostu Andrzej lubił kręcić się czasami przy sklepach filate-listycznych, na jakichś wystawach... Spotykając niedoświadczonych zbieraczy naciągał ich bezlitośnie, proponował oszukańcze wymiany i zwyczajnie nabijał w butelkę.

Twierdził, że niedołągi sami sobie są winni — ale ja nie kryłam nigdy, co o tym myślę. Pewnie dlatego rzadko i niechętnie opowiadał mi o swoich kontaktach. W każdym razie nikogo do domu nie przyprowadzał.

— No trudno — bąknął kapitan nie bardzo wiedząc, co powiedzieć. Schował notes i rozejrzawszy się raz jeszcze ruszył do przedpokoju.

— Panie kapitanie — zawołała za nim Zamiarowiczowa.

— Słucham?

— Chciałabym zapytać, czy panowie zwrócą mi papiery i korespondencję mego męża zabraną z biurka? Ostatecznie to dla mnie pamiątka...

— Oczywiście — zapewnił ją Jacyna. — Za kilka dni zwrócimy pani wszystkie listy i papiery.

Skłonił się, ucałował podaną mu dłoń i wyszedł. Szczęknęły zamknięte drzwi.

Dwa zamki yale — pomyślał schodząc powoli na półpiętro. —

Drzwi stare, solidne, nie ma mowy o cichym i szybkim włamaniu.

Trzecie piętro — okno odpa

da. Tak, jeżeli ktoś postanowił zdobyć zielony albumik, musiał

liczyć się z możliwością popełnienia morderstwa.

Na Nowym Swiecie panował upał, zgiełk i tłok. Chodnikami sunęły wśród tłumu zmordowane, trochę ogłupiałe wycieczki, dźwigające plecaki i walizki. Grupy przechodniów raz po raz wdzierały się desperacko na jezdnię, zatrzymując śmierzdzący spalinami potok samochodów. Kierowcy mimo zakazu trąbili niecierpliwie, bardziej krewcy przechodnie odpowiadali pukaniem w czoło. Minęła godzina trzecia

—
zaczynał się okres popołudniowego szczytu.

Kapitan Jacyna wyprzedził właśnie dwie chude, bose, ubrane w spodnie dziewczyny, które z przodu okazały się brodatymi Szwedami, i bezskutecznie usiłował ominąć zbiegowisko dookoła sprzedawcy psów. Był głodny. Niestety, dwa najbliższe bary mleczne akurat remontowano — musiał więc wstąpić do Bliklego i zjeść trzy ciastka. Przytępił w ten sposób głód, lecz nie zaspokoił go całkowicie.

Na rogu Rutko wskiegS dostrzegł góralkę z wielkim koszem oszczypków. Szybko kupił swój ulubiony przysmak. Ledwie zdążył

wsypać resztę do portmonetki, przekupka porwała kosz i pomknęła pędem do najbliższej bramy. Jacyna rozejrzał się zdumiony; ponad tłumem nadpływała powoli milicyjna czapka.

Mimo woli parsknął śmiechem. Odpowiedział na uprzejmy ukłon znajomego podoficera i przeszedł na drugą stronę ulicy, kierując się w stronę pomnika Partyzantów. Po kilku minutach siedział już w dusznym wnętrzu pośpiesznego autobusu, rozważając całą sprawę jeszcze raz od początku.

Szantaż to na razie hipoteza. Wprawdzie dość prawdopodobna, ale... Listy i ukrywanie dochodów o niczym nie świadczą. A jeżeli nawet — szantażysta niekoniecznie musiał być mordercą.

Zamordować mógł ktoś zupełnie inny. Wiadomo tylko, że był to ktoś, kto znał dobrze zbiory Zamiarowicza i wiedział o zielonym albumie. Kto wiedział? Przede wszystkim żona — ale ona przecież była w Busku. Teoretycznie rzecz biorąc, mogła oczywiście mieć współnika, ale takim wypadku nie musiała meldować o kradzieży. Najprawdopodobniej nikt by się o tym nie dowiedział.

Po cóż zresztą miałyby kraść — i tak dziedziczyła cały majątek. Nie, żona stanowczo odpada, Adamiakowie mają stuprocentowe, sprawdzone alibi. Pozostaje na razie Krzysztof Adamiak i Sławomir Kluczyński. Trzeba się jeszcze rozejrzeć wśród kolegów Zamiarowicza w miejscu jego pracy...

Autobus stanął. Wyrwany z rozmyślań kapitan wyjrzał przez okno i potracając pasażerów rzucił się do wyjścia. Zdążył

wyskoczyć dosłownie w ostatniej chwili, cudem umknąwszy przytrzaśnięcia pneumatycznymi drzwiami. Czerwony ze złości kierowca wytknął głowę z wozu.

— Ty łajzo śpiąca! — krzyknął. — Do szpitala się pchasz, baranie!

Jacyna odwrócił się do niego ostro, ale uświadomił sobie w tym momencie, że kierowca widzi przed sobą tylko cywila i to niezbyt rozbawionego, sądząc zachowania. Wzruszył więc ramionami i szybko odszedł, odprowadzany niezyczliwymi spojrzeniami współpasażerów.

Niespodziewanie łatwo udało mu się odnaleźć nazwisko Adamiaka na ogromnej liście lokatorów najbliższego wieżowca.

Pogwizdując wszedł do windy i nacisnął guzik. Kabina nawet nie drgnęła. Po kilku rozpaczliwych próbach uruchomienia dźwigu skapitulował i wysiadł. Na widok tasiemcowej kolejki do drugiej windy machnął ręką. Zrezygnowany zaczął wdrapywać się po schodach.

Oczywiście można było wezwać Adamiaka na przesłuchanie do komendy, ale kapitan tego nie lubił. Uważał nie bez racji, że sam wygląd mieszkania może bardzo dużo powiedzieć o lokatorze

— nieraz nawet więcej, niż życzyłby sobie przesłuchiwany.

Czasami jednak trzeba było ponosić konsekwencje tej metody.

Dotarłszy na szóste piętro przystanął, by nabrać tchu.

Wysapał się, otarł czoło i ruszył długim, niemal więziennym korytarzem, mijając jednakowe szare drzwi z judaszami.

Mieszkanie sto sześćdziesiąt pięć — to tu.

Spoza drzwi dobiegał piekielny łomot bębnow, metaliczny syk talerzy i mocne stąpania kontrabas. Kapitan wyciągnął palec w kierunku dzwonka, ale cofnął rękę mimo woli, gdy hałas urwał

się nagle.

Śpiewny, delikatny głos fletu zaznaczył w powietrzu dwie obrywane nutki, jakby otwierając cudzysłów, a później wywiódł

jednym tchem długie, wesole zdanie. Bębny grzmotnęły i wśród rytmicznego, narastającego syku blach soczysty baryton saksofonu zaczął wygłaszać coś miękko i flegmatycznie.

Jacyna stał zasłuchany. Upłynęło kilka minut, zanim uświadomił sobie, po co właściwie tu przyszedł. Energicznie zadzwonił.

Muzyka ucichła jak zdmuchnięta, tylko kontrabas przebiegł z rozpędu jeszcze kilka taktów. Po chwili drzwi otworzyły się. W

progu stanął' długowłose młody człowiek z wielkim saksofonem pod pachą.

— W porządku — mruknął. — Właśnie kończymy.

Cofnął się i chciał zatrzaskać drzwi, ale kapitan przytrzymał je ręką.

— Chwileczkę — powiedział. — Czy pan Krzysztof Adamiak?

— Tak, to ja — ze zdziwieniem odrzekł długowłose.,

— Milicja — Jacyna podetknął mu legitymację. — Chciałbym z panem chwilę porozmawiać.

— Proszę bardzo — Adamiak uczynił zapraszający gest.

Kapitan wszedł do ciasnego, ciemnego przedpokoju. Odsunięta zasłona ukazywała kuchenkę

gazową z rzeźbionym okapem i obudowany zlewozmywak. Dom projektowano widocznie według dawnych, oszczędnościowych norm.

— Proszę do pokoju — zachęcał uprzejmie gospodarz. — Niech się pan tylko nie przestraszy bałaganu.

Otworzył drzwi i oficer z trudem powstrzymał odruch zaskoczenia. Nigdy jeszcze dotychczas nie miał okazji widzieć czegoś podobnego.

Niewielki pokój był tak zatłoczony, że niemożliwością wydawało się poruszenie się w nim. Siedziało tu czterech wąsatych, brodatych młodzieńców, ubranych w obcisłe spodnie i barwne koszule. Ich twarze słabo majaczyły w gęstych kłębach papierosowego dymu. Środek pokoju zajmował komplet perkusyjny, który Jacyna w myśli nazwał „ogromną kupą bębnów“. Pod ścianą widniał kontrabas; obok, na podłużnym bębnie afrykańskim, leżał srebrzyście lśniący flet. Odsunięty do kąta stół zawalony był stosami nut, butelkami po piwie i przepełnionymi popielniczkami. Obok tapczanu stał potężny adapter z dwiema kolumnami głośnikowymi.

— Słuchajcie, ten pan... — Adamiak urwał i wyczekująco spojrzał na kapitana.

— Kapitan Jacyna :— mruknął oficer.

— Więc pan kapitan Jacyna jest z milicji — dokończył prezentacji gospodarz

i dodał, wskazując obecnych: — A to są moi koledzy z uczelni.

Zakładamy zespół,

— Znowu milicja! — jęknął tęgi brunet w okularach.

— Dlaczego „znowu“? — zapytał kapitan.

— Przecież dzielnicowy był tu dwa razy w zeszłym miesiącu.

— Nie rozumiem.

— Istotnie, mieliśmy małe nieporozumienie z sąsiadami, którzy narzekali na hałasy i usiłowali nas uciszyć przy porficcy dzielnicowego — wyjaśnił Adamiak. — My wszystko bardzo dobrze rozumiemy, ale o pomieszczenie do prób jest strasznie trudno.

Musimy przecież gdzieś ćwiczyć. Gdybyśmy urządzali pijackie libacje, ludzie baliby się pisać słówko na ten temat; ponieważ jednak zachowujemy się spokojnie, szykanowali nas różnymi sposobami. Już kilka razy psuli mi dzwonek i mazali drzwi jakimś świństwem. W końcu po długich targach z administracją i sąsiadami udało nam się zdobyć pozwolenie na próby dwa razy w tygodniu — od pierwszej do czwartej. Teraz właśnie zbliża się czwarta i pańska interwencja jest zupełnie zbędna.

— I tak kończyliśmy próbę, niepotrzebnie się pan fatygował

— perkusista z suchym trzaskiem skrzyżował pałeczki.

— Aha, już wszystko wiem — roześmiał się Jacyna. — Nie, ja nie jestem naślany przez złośliwych sąsiadów. Chciałbym z panem porozmawiać o zupełnie innej sprawie.

— Oczywiście, bardzo chętnie — zgodził się Adamiak i spojrzał w stronę kolegów, którzy jak na komendę zaczęli pakować instrumenty.

— No to cześć, Krzysiek! Na razie! Lecę, stary! Do jutra! —

rozbrzmiewało raz po raz. Kapitan odpowiadał z uśmiechem na ukłony wychodzących. Gdy drzwi zamknęły się za ostatnim, spoważniał. Adamiak powstrzymał go ruchem ręki.

— Jeżeli mógłby pan poczekać z pięć minut — poprosił —

wolałbym najpierw sprzątnąć tu zgrubsza. Nie mogę nic robić w takim bałaganie.

Jacyna zgodził się. Siedząc w wygodnym, jedynym zresztą fotelu obserwował, jak tamten szybko przesuwa stół na właściwe miejsce, wynosi do przedpokoju butelki po piwie i opróżnia

popielniczki.

Morderca tak samo sprzątał mieszkanie Zamiarowicza — pomyślał.

Przez szeroko otwarte okno wdarł się hałas hamującego tramwaju.

— Musimy zamykać nawet w taki upał — wyjaśnił gospodarz. —

Te hałasyny jednak, przeszkadzają, a my czasem nagrywamy coś na taśmę. Zresztą przy zamkniętych oknach i sąsiedzi mniej sły-szą.

Sprzątnięty, przewietrzony pokój wyglądał. teraz zupełnie inaczej. Jedna ściana zabudowana była do sufitu prostym, pękającym niemal od książek regałem, na pozostałych wisały różnokolorowe plakaty i blaszane lub drewniane krewie dzwonki.

Pod oknem stało małe biurko — rzeczko z mnóstwem szufladek.

— Już kończę — rzekł Adamiak, kursując między pokojem a kuchnią. Wziął ze stołu plik płyt i zaczął je pedantycznie ustawiać w specjalnym stojaku wśród innych.

— Ależ ma pan dużo płyt! — wykrzyknął Jacyna.

— Tak, mam sporo, nie da się ukryć.

— Ravel, Manuel de Falla, Miles Davis, Bach, Komeda —

zaskoczony kapitan odczytywał napisy na grzbietach. — A tu znowu Bach i obok Armstrong. Dziwne pomieszanie gatunków.

— Nie widzę w tym nic dziwnego — Adamiak otrzepał spodnie i usiadł naprzeciw oficera, częstując go papierosem z nieprawdopodobnie wygniecionej paczki. — Ja po prostu lubię naprawdę dobrą muzykę, bez względu na rodzaj. Oczywiście od różnych gatunków oczekuję czego innego... Ale podejrzewam, że nie przyszedł pan tu na dyskusję o muzyce. Jestem do pańskiej dyspozycji.

Jacyna zapalił. Jeszcze dłuższą chwilę rozglądał się w milczeniu.

— Ma pan ładny adapter — zauważył. — Coś takiego pewnie kosztuje kupą pieniędzy?

— Tak, kosztował osiem patyków, ale itak była to okazja — wyjaśnił Adamiak, unosząc brwi ze zdziwieniem. — W komisie musiałbym zapłacić ze trzynaście.

Sprzęt tej klasy jest drogi.

— Dawno pan go kupił?

— Wczoraj. Mój kumpel' wyjeżdża na dwa lata za granicę i potrzebuje pilnie gotówki; liczy zresztą, że przywiezie sobie lepszy adapter, więc rozstał się z nim bez bólu.

— Skąd pan wziął taką sumę? Przecież pan nie pracuje?

Adamiak wzruszył ramionami.

— W każdym razie nie ukradłem — odpowiedział ze złością. —

A o co' właściwie panu chodzi? Czy komuś zginął taki adapter?

Podam panu nazwisko i adres kumpla, który mi go sprzedał; może pan wszystko sprawdzić.

— Wszystko sprawdzimy, niech się pan nie martwi — wycodził

kapitan. — Kiedy ostatni raz widział pan Andrzeja Zamiarowicza?

— Wuj? Chyba rok temu, ale przecież on już nie żyje... —

odrzekł machinalnie

młody człowiek i nagle uderzył się w czoło. — Ach, więc o to chodzi! Ten adapter i to wszystko! Pan podejrzewa, że to ja go zabiłem! Przecież to bzdura!

— Chwileczkę, proszę się uspokoić! — przerwał mu Jacyna. —

Na razie nikogo nie oskarżam. Potrzebuję tylko kilku informacji.

— Proszę bardzo, udzielę wszystkich informacji, ale niech pan pyta wprost, zamiast bawić się w dyplomatę i kołować: a skąd to, a skąd tamto...

— Jak pan woli — zimno odpowiedział oficer. — A więc skąd pan wziął pieniądze na kupno adaptera?

— To żadna tajemnica. Od dawna marzyłem o dobrym sprzęcie.

Chałturzyłem, gdzie się dało, i odkładałem pieniądze na książeczkę PKO. Trochę zarobiłem w spółdzielni studenckiej, trochę — grając do tańca na różnych imprezach. Parę złotych dostałem od rodziny. Miałem niemiecki adapter, taki sobie —

sprzedałem go za tysiąc dwieście. Tysiąc złotych pożyczyłem od kolegi dwa dni temu.

— I długo pan oszczędzał? — zapytał Jacyna sceptycznie.

Adamiak wyczuł w jego głosie nutkę niedowierzania, sięgnął więc do szuflady biurka. Chwilę grzebał wśród jakichś szpargałów, rachunków za światło i zapisanych notesów, by w końcu z tryumfem wyciągnąć pomietaną książeczkę PKO.

— Proszę bardzo — podsunął ją kapitanowi. — Ma pan tu wpłaty poszczególnych sum. Nie są fałszowane, można sprawdzić.

Wiedziałem, że dobry sprzęt sporo kosztuje; starałem się zgromadzić maksymalną ilość gotówki nie mając jeszcze na oku niczego konkretnego. Zacząłem oszczędzać trzy lata temu.

Jacyna szybko przekartkował książeczkę. Na wszystkich stronach widniały prawie wyłącznie wpłaty stosunkowo nie-wielkich kwot, od stu do pięciuset złotych. Ostatnia data pochodziła sprzed dwóch dni i dotyczyła wypłaty całej oszczędzonej sumy.

— Wypożyczam tę książeczkę — oświadczył. — Oczywiście dam panu pokwitowanie.

— Drobnostka — machnął ręką Adamiak. — I tak podjąłem z niej wszystkie pieniądze.

Kapitan jednak wydarł kartkę z notesu i wypisał pokwitowanie.

— Co pan robił drugiego sierpnia po południu? — zapytał.

— Nic specjalnego, przecież są wakacje — odpowiedział młody człowiek z namysłem. — Ugotowałem sobie obiad — ziemniaki z konserwowym gulaszem, jeśli to pana interesuje; kawioru nie jadam. Po obiedzie ze dwie godziny słuchałem płyt, później poszedłem do kina.

— Do jakiego kina?

— Do „Palladium“, na film „Serce to samotny myśliwy“.

Nawiasem mówiąc doskonały film, radzę panu iść na to.

— Dziękuję, chętnie pójdę w wolnej chwili. Wróćmy jednak do przedmiotowej sprawy. Co pan robił później?

— Wyszedłem z kina około siódmej, pospacerowałem pół godziny i pojechałem do „Stodoły“ — Adamiak zmarszczył czoło.

— Aha, w międzyczasie jadłem kiełbasę z różną w szaszłykami przy ulicy Emilii Plai-er. W każdym razie o jedenastej byłem już w domu. Czytałem jeszcze do drugiej w nocy i wreszcie poszedłem spać.

— Czy w kinie i w „Stodole“ był pan sam?

— Sam, bo Magda, to znaczy moja dziewczyna, wyjechała z rodzicami na wczasy. W „Stodole“ spotkałem zresztą kilka osób: Heńka, Tomka, Agatę, takiego blondasa Andrzeja...

— Przez cały czas był pan w ich towarzystwie? — zainteresował się Jacyna.

— Ależ nie, po prostu zamieniliśmy w przelocie kilka słów.

Gdybym wiedział, że będzie mi potrzebne alibi, tobym się ich trzymał jak wesz kożucha.

— Dobrze, zostawmy to na razie — kapitan podkreślił coś w notesie. — Podobno nie łączyły pana zbyt dobre stosunki z Andrzejem Zamiarowiczem?

— Ostatnio nie łączyły mnie z nim w ogóle żadne stosunki —

mruknął Adamiak ze złością. — Był nudnym, skąpym piernikiem bez poczucia humoru. Chodziłem wprawdzie czasem do niego z rodzicami, ale robiłem to tylko dla nich. Nie znosiłem go. Niech pan sobie wyobrazi: przez cały czas wizyty trzeba było sztywno siedzieć przy stole i wysłuchiwać jego bredzenia. A ten stół — pożał się Boże!

Gdyby nie ciotka, która jest osobą do rzeczy, wuj częstowałby nas chyba letnią wodą z kranu. Wie pan, nie chodzę nigdy do nikogo po to, żeby się nazreć, ale denerwuje mnie wyrachowane skąpstwo. Największą ucztę urządzał zawsze z okazji imienin — stawiał wtedy na stole tę samą za każdym razem butelkę wiśniówki, a w niej odmierzone ściśle po dwa kieliszki na twarz. Nigdy więcej. Raz tylko się przeliczył. Skończyłem akurat przed jego imieninami osiemnaście lat i miałem nowiutki dowód osobisty. Wuj stawiając butelkę na stole jak zwykle powiedział: „Młody człowiek jeszcze nie pije, nieprawdaż?”

„Chętnie się napiję“ — odpowiedziałem wyraźnie, żeby nie mógł nie dosłyszeć. Zrobił tak zgorzsną minę, że musiałem wyjaśnić: „Jestem już pełnoletni“.

— No i jak wybrnął z sytuacji? — roześmiał się Jacyna.

— Wypił pół kieliszka i powiedział, że głowa go boli.

Następną kolejkę opuścił,

innym nalał odrobinę mniej. Jakoś starczyło. Myślałem, że mnie zasztyletuje wzrokiem.

— Kiedy doszło między wami do kłótni?

— Mniej więcej przed rokiem, ale trudno nazwać to kłótnią.

Ni z tego, ni z

owego zebrało mu się na wywody o dzisiejszej młodzieży.

Głędził tak dobre pół godziny, a później zaczął się mnie czepiać. Udawałem, że nie słyszę, dwa razy usiłowałem zmienić temat — w końcu nie wytrzymałem i wyszedłem. Od tej chwili nie widziałem go ani razu.

— Czy oglądał pan kiedyś jego zbiory?

— Oglądałem, gdy . byłem młodszy i też zbierałem znaczki.

Wie pan, każdy przez to przechodzi — uśmiechnął się krzywo Adamiak. — Pamiętam: posadził mnie przy stole i nie pozwalał

niczego dotknąć. Sam przewracał karty albumów — tak się bał, że mu coś ukradnę. Miał jednak wielką ochotę pochwalić się — nawet przed takim gnojkiem, jakim wtedy byłem

— i ta ochota walczyła z lękiem o całość zbiorów. Kiedy musiał

- wyjść do kuchni, ciągnął mnie za sobą, żebym nie został sam z jego skarbami.

Kapitan pokręcił głową.

—Rzeczywiście wątpliwa przyjemność. A czy były tam istotnie jakieś skarby?

—Dla mnie były to wtedy oszałamiające skarby,, zwłaszcza znaczki z kolonii. Na przykład Sahara Hiszpańska albo Wybrzeże Kości Słoniowej. Ale jakież w ogóle mogłem wówczas mieć pojęcie o prawdziwej wartości tych znaczków...

—Oczywiście oglądał pan zielony albumik? — zapytał Jacyna obojętnie.

—Oglądałem różne albumy, trudno mi po latach pamiętać ich kolor.

— Chodzi mi o niewielki zielony album, w którym wuj pana przechowywał najcenniejsze okazy. Wartość ich wynosiła około 160 tysięcy złotych.

—Niemożliwe... — szepnął Adamiak, otwierając szeroko oczy. —

To on miał aż tyle?

—Więc nie pokazywał panu tego albumu?

—Nie, z całą pewnością nie. Mimo wszystko znałem się trochę na znaczkach. Musiałbym zauważyć aż tak wartościowe rzeczy.

Widocznie bał się, że mu je ukradnę.

Nagle drgnął.

—Panie kapitanie — wyjąkał — czy... czy ten album...

Jacyna w milczeniu schował notes do kieszeni. Wstał.

—Skąd pan wie, że Zamiarowicz nie umarł naturalną śmiercią?

— zapytał nagle.

—No, jak to, przecież moich rodziców, wzywano na komendę i magłowano o alibi — zmieszał się Adamiak.

— I nie skojarzył pan tego faktu z moim przybyciem?

—To może dziwne, ale nie.

—Rzeczywiście dziwne — sucho odrzekł kapitan. — W każdym razie proszę nie wyjeżdżać teraz nigdzie z Warszawy.

Prawdopodobnie będę potrzebował jeszcze pańskich wyjaśnień. Do widzenia.

Zamyślony przeszedł „więziennym“ korytarzem i zbiegł szybko po schodach. Na pierwszym piętrze zorientował się dopiero, że obie windy już działają.

Kapitan z obrzydzeniem zdusił papierosa w popielniczce i przesunął językiem po spieczonych wargach. Co za straszliwy upał! Oba syfony były już puste. Sięgnął po szklanekę, by napić się chociaż wody z kranu, ale w tej samej chwili drzwi skrzypaneły i na progu stanął Pawlak.

—Co słyhać, sierzancie? — ożywił się kapitan zapominając na chwilę, że prze- pocone ubranie obrzydliwie lepi mu się do ciała.

—Sprawdziliśmy w spółdzielni studenckiej. Adamiak chyba mówił prawdę, przynajmniej na to wygląda. Wypłacone mu przez spółdzielnię sumy figurują w książeczce — daty zgadzają się mniej więcej. Na uczelni ma dobrą opinię, w klubach rzeczywiście czasami grywa. Jego zeznania trzymają się kupy.

:— A sklepy filatelistyczne?

— Sprawdziliśmy. Na szczęście Zamiarowiczowa miała zdjęcie Adamiaka. Nikt o takim wyglądzie nie próbował dotychczas sprzedawać znaczków.

Oczywiście może jeszcze próbować, więc rozdaliśmy odbitki kierownikom sklepów — w razie czego przytrzymają znaczki i.

dadzą nam znać. Ale jeżeli przyjdzie mu do głowy, żeby rozprowadzać po kilka sztuk przez współników albo na przykład sprzedawać pojedyncze znaczki przygodnie spotkanym drobnym filatelistom — wtedy nie mamy żadnych szans.

—Cholera jasna — pokręcił głową Jacyna. — To wszystko?

—Jest jeszcze telefonogram z Zambrowa — Pawlak podał mu kartkę. — Kłu- czyński to solidny obywatel, znany i poważany.

Właściciel komisju. Nie karany, doskonała opinia.

—Coś za dużo tych doskonałych opinii — mruknął ze złością kapitan, przebiegając wzrokiem treść telefonogramu. — Jutro rano tam pojedę, obejrzę trochę tę do skonałość. A co z sąsiadami Zamiarowicz; i dozorcą?

—To też sprawdziliśmy — skrzywił się sierżant. — Denat nie utrzymywał z sąsiadami stosunków towarzyskich, wis pan: „dzień dobry — dzień dobry“ i koniec. Najbliższy sąsiad, zresztą emerytowany oficer, był tego wieczora u kolegi na brydzu; jego żona poszła wcześniej spać, bo bolały

ją zęby. Nic nie widziała nic nie słyszała. Inni sąsiedzi też nic nie umieją powiedzieć.

Ktoś puścił plotkę, że Zamiarowicz był szpiegiem i wszyscy twierdzą, że od dawna wydawał im się niewyraźny. Dozorca trochę się plątał, ale z innego powodu — miał stracha, bo prawdopodobnie handluje wódką.

— Trzeba będzie w przyszłości wziąć się za tego typa, ale to nie jest teraz najpilniejsze — Jacyna otarł twarz i szyję chustką, która natychmiast zrobiła się mokra.

— I jeszcze jedno — sierżant wyjął zza pleców butelkę wody mineralnej. — Wprawdzie trochę ciepła, ale jeżeli obywatel kapitan...

Oficer pochwycił ją skwapliwie.

— Człowieku, życie mi wracasz! — wykrzyknął. — Bardzo dziękuję!

— Drobnostka — machnął ręką Pawlak. — Ja i tak kończę już służbę. Jak tylko wrócę do domu, zaraz wykąpię się w chłodnej wodzie.

Podali sobie ręce. Pawlak wyszedł, a kapitan, pociągnąwszy spory łyk, powrócił do studiowania akt.

— Co za paskudna sprawa, żadnego punktu zaczepienia!

Przerzucał notatki służbowe; szkice sytuacyjnie, zdjęcia, protokoły. Wszystko to znał już na pamięć. Teraz korespondencja znaleziona w biurku Zamiarowicza Wyjął z brązowej koperty plik listów i zagłębił się w nie chyba już po raz dziesiąty, analizując uważnie zdanie po zdaniu. Kilka pocztówek z okolicznościowymi: życzeniami, głównie od Adamiaków — nic ciekawego. Stare pocztówki od Zamiarowiczowej. Trzy jej listy z Buska. We wszystkich trzech to samo: „Niepokoi mnie brak wiadomości od ciebie...“.

„Strasznie nudno w tym Busku“..., „Szybko napisz, co w domu...“, „Nie żałuj na jedzenie, dbaj o siebie...“ Kapitan odsunął je ze złością. Co za nudziarstwo! Teraz pokaźna paczka listów od Kluczyńskiego. Tu już panowała rzeczowa, zwięzła fa-chowość: opisy znaczków, propozycje wymiany, porównywanie wartości katalogowej, pełne dumy doniesienia o nowych, ciekawych nabytkach.

Jacyna pilnie wertował wypożyczone katalogi i znów powracał

do listów. Mimo szczerych chęci nie znajdował jakoś wzmianek o naprawdę cennych znaczkach. Widocznie Zamiarowicz starannie ukrywał najciekawsze okazy ze swej kolekcji nawet przed kolegą zbieraczem. Takie postępowanie jednak wydawało się kapitanowi niepojęte, sprzeczne wprost z psychiką kolekcjonera. Mieć coś rzadkiego, poszukiwanego, coś, co mogłoby stanowić przedmiot zazdrości — i nie mówić o tym nawet najbliższemu znajomym? Nasuwa się tu jedno tylko przypuszczenie: znaczki musiały być zdobyte drogą nielegalną.

I to właśnie mogło stanowić przedmiot szantażu. A więc przynajmniej jedna osoba musiała dobrze je znać. Tak czy inaczej trzeba jak najszybciej porozmawiać z tym Kluczyńskim.

Na koniec ostatni list Zamiarowicza. List pisany na krótko przed śmiercią, autentyczność stwierdzona przez grafologa.

Zgodnie z zasadami wszystkich powieści kryminalnych powinien zawierać jakąś wskazówkę, sprytnie zakamuflowaną w treści. A tu dosłownie nic, aż rozpacz ogarnia! Jacyna otarł czoło, napił się wody i z uporem maniaka powrócił do listu.

Droga Ireno.

Spieszę Ci donieść, że wszystko jest w najlepszym porządku.

Wzruszyły mnie dowody pamięci, jakimi są Twe listy. Pisałem niedawno do Ciebie, ale widocznie list nie doszedł, skoro go nie otrzymałaś. Odebrałem bieliznę od praczki, zapłaciłem rachunki za światło i telefon. Kwiatki podlewam regularnie.

Nie będziesz więc miała żadnych kłopotów po powrocie; możesz spokojnie poświęcić się ku racji. Wczoraj sąsiedzi z góry znów urządzali jakieś imieniny, połączone z barbarzyńskimi wrzaskami i tupaniem. Ucichli około drugiej w nocy. Nie interweniowałem, bo — jak przekonaliśmy się już wielokrotnie — nie odnosi to najmniejszego skutku. W

pracy nic ciekawego, popołudnia spędzam w domu porządkując znaczki; zdobyłem kilka nowych serii. Nie opisuję Ci ich dokładniej, znając Twą pozałowania godną ignorancję w tej dziedzinie. Wczoraj Adamiakowie chcieli wyciągnąć mnie do teatru, ale cudem się wybroniłem. I to na razie wszystko.

Całuję Cię

Andrzej

No, trzeba przyznać, że zbyt serdeczny to on nie był —

pomyślał Jacyna, odkładając list na stos innych. W sztywnej obwolucie z sygnaturą sprawy pętało się już tylko kilka banalnych widokówek. Pierwsza z brzegu: Pozdrowienia z Rumunii przesyła Marciniak. Druga: Pozdrowienia znad pięknego morza przesyła Rzepiela. Treść pozostałych była niemal identyczna.

Marciniak? Rzepiela? Aha, to, zdaje się, pracownicy biura projektów. Jednak muszę koniecznie tam pojechać — postanowił

kapitan bez entuzjazmu.

Starannie złożył akta, schował je do szuflady i przekręcił

klucz w zamku.

Zaledwie kilka przystanków dzieliło komendę od biura projektów, w którym pracował Zamiarowicz. Nie było akurat pod ręką żadnego wozu, zresztą nie opłacało się nawet brać samochodu na kilkuminutową trasę. Jacyna wysiadł więc z tramwaju półżywy od upału. Zupełnie mokry, rozczochrany, mógłby może budzić współczucie, gdyby nie fakt, że ani trochę nie różnił się od reszty pasażerów.

Minął skrzyżowanie, gdzie w kłębach błękitnego dymu migąła biała bluza — dyżurna milicjantka gwizdkiem i groźnymi gestami rozdzielała zdziżące stada pojazdów, kierując je na właściwy szlak.

Chodnik przed domem towarowym „Sezam“ tarasowały potężne kolejki.

Co tu sprzedają? Aha, arbuzy, a tam dalej kawę „Inka“. Ale skąd takie tłumy w godzinach pracy?

Czyżby to wszystko byli... bezrobotni? — pomyślał z humorem Jacyna, patrząc na podekscytowane, tłoczące się kobiety. — No tak, biur tu sporo...

Nieco dalej, na Sienkiewicza, grupa młodych Angielek wysiadała z autokaru, rozglądając się z ciekawością. Wśród gwaru trzaskały migawki, szumiały kamery filmowe.

— Czendź many — szepnął tajemniczo młodzian w czarnej koronkowej koszuli, zbliżając się do turystek. — Za jednego dolara daję osiemdziesiąt złotych.

Na szczęście pilotka energicznie ruszyła w jego stronę, zanim zaskoczone dziewczęta zrozumiały, o co chodzi, i przedsiębiorczy młodzieniec zniknął, jakby zapadł się pod ziemię.

Przydałoby się zwiększyć liczbę patroli' w tym rejonie i wygarnąć trochę tych „numizmatyków“ — pomyślał kapitan, wchodząc do bramy ozdobionej kilkunastoma tabliczkami różnych instytucji. Uprzedzony telefonicznie dyrektor biura projektów przyjął go uprzejmie.

— Ależ najchętniej udzielę wszelkich informacji — mówił. —

Śmierć naszego długoletniego pracownika była dla nas wszystkich ogromnym wstrząsem. Jaki był kolega Zamiarowicz?

Solidny, spokojny, dokładny, powiedziałbym nawet —

pedantyczny. Nie, nie kłócił się z nikim, przynajmniej ja nic o tym nie wiem. Czy lubiano go? Właściwie ani tak, ani nie; był skryty i trochę oschły, z nikim nie utrzymywał bliższych kontaktów. Poza tym cechował go bierny, obojętny stosunek do pracy. Owszem, wykonywał wszystko — i to nawet bardzo dobrze, dokładnie, szybko. Niewątpliwie świetnie znał swoją robotę, ale nie angażował się w nią ani odrobinę. Wie pan, zawsze odnosiłem wrażenie, że myślał stale o czymś zupełnie innym i rozważał jakieś swoje, obce nam problemy. Nie, w zeszłym tygodniu nie był nienormalnie ożywiony czy podekscytowany — on w ogóle nigdy w życiu nie był chyba podekscytowany. Trudno mi powiedzieć, czy miał długi, ale nie sądzę; od roku dorabiał nieźle na pracach zleconych. Była tu zresztą niedawno jego żona i okazało się, że nic nie wie o jego dodatkowych zarobkach. Dziwne... Nigdy bym go nie podejrzewał o jakieś kombinacje...

Przed kapitanem przedefilowali następnie współpracownicy Zamiarowicza. Wszyscy mówili prawie to samo.

—Zamiarowicz był typem samotnika — cedził flegmatycznie potężny, gruby Marciniak, kierownik zespołu. — Nie interesował się nikim i żądał w zamian, by pozostawiono go w spokoju.

Teraz dopiero, gdy już nie żyje, uświadomiłem sobie, że właściwie nic o nim nie wiem. Był jak mebel, do którego wszyscy się przyzwyczaili tak dalece, że zniknięcie jfego zauważono dopiero wtedy, gdy pozostał po nim jaśniejszy prostokąt na ścianie. Czy miał długi? Trudno powiedzieć. Raz tylko, może trzy miesiące temu pożyczył ode mnie tysiąc złotych. Bardzo mu zależało na utrzymaniu tego w tajemnicy.

Tak, oddał po dwóch tygodniach. Ależ nie. skądże, wrogów nie miał! Przynajmniej nie w biurze — przecież po tylu latach wspólnej pracy znaleźmy go wszyscy głównie z widzenia.

—Zawsze obojętny, patrzył na nas niemal z pogardą — deklamowała z emfazą maszynistka, trzydziestodwuletnia pan- na Sabina. — Wszyscy jesteśmy ze sobą na ty, tylko do niego jednego mówiło się „panie Andrzeju“. Nigdy nic o sobie nie opowiadał. Był taki tajemniczy! Zawsze przeczuwałam, że za tym jego wiecznym milczeniem kryje się jakiś ponury sekret...

Jedynie Rzepiela urozmaicił nieco monotony korowód przesłuchiwanym.

— Niech pan sobie wyobrazi — szeptał przysuwając do kapitana szczerowatą twarz — że ten Zamiarowicz, ten ponurak, ta cicha woda, miał kochankę! Ależ to był cwany spec!

Utrzymywał dziwkę z prac zleconych, przypadkowo się dowiedzieliśmy. Kto by to pomyślał! Trzeba jednak przyznać, że co jak co, ale pozory umiał zachować.

—Skąd ta wiadomość o kochance? — zapytał Jacyna.

—Panie drogi, życia pan nie zna?. — zachichotał Rzepiela — A po co mu były potrzebne te pieniądze? Chyba na dobroczynność ich nie przeznaczył. Nie pił, nie palił, ale jakieś potrzeby pewnie w życiu miał, he, he...

Inni pracownicy wysuwali podobne przypuszczenia, choć może w bardziej oględnej formie. Nawet pani Kazia Ja- glicka, zawsze spokojna i uprzejma, kiwała głową ze zgorszeniem.

—Uważałam go za przyzwoitego, spokojnego człowieka — powiedziała tylko. — Nie spodziewałam się tego po nim. kapitan nie krył rozdrażnienia.

Zmarnowałem kilka godzin — myślał. — Nie dowiedziałem się niczego oprócz bzdur i plotek. Nikt go nie znał bliżej, nikt z nim nie rozmawiał, nikt nic o nim nie wiedział. Za to w jego kochankę

nikt nie wątpi. Niech to wszyscy diabli wezmą! —

Wepchnął do teczki plik zapisanych kartek, podziękował dyrektorowi i po kilku minutach lawirował już w tłumie wypełniającym Pasaż Śródmiejski. Dochodziła czwarta — upał i tłok sięgały zenitu. Przed kinem „Palladium“ kręciło się kilku koników.

Pewnie jakiś kasowy film grają — pomyślał Jacyna. — Aha, „Serce to samotny myśliwy“. Podobno dobry, ale kto mi to mówił? Zdaje się, że Adamiak...

Ciekawe, czy to rzeczywiście takie чудо.

Zastanawiał się chwilę, a później machnął ręką i zajął miejsce w kolejce do kasy.

Ostatnie domki Ostrowi Mazowieckiej migają za szybami samochodu. Szary Fiat zostawił już za sobą centrum najeżone nowymi blokami i mające wyraźne pretensje do wielkomiejskości; teraz uciekała cło tyłu zabudowa pogranicza — zwykle wiejskie chałupy przemieszane z pudełkowatymi, bliźniaczo do siebie podobnymi willami, jakich pełno w każdym polskim miasteczku.

Kierowca wyminął kilka furmanek, perkającą majestatycznie Syrenkę i zwięk szył szybkość. Szosa była pusta. Wysoko pienny las po obu jej stronach rzucał przyjemny cień. Przez uchyloną szybę wdierało się świeże, żywiczne powietrze..

Jacyna zgasił papierosa i odetchnął głęboko. Nagle uwagę jego zwróciła stojąca na poboczu grupka dzieci, które wołały coś, wyciągając w stronę samochodu koszyczki pełne grzybów.

— Co one robią? — zapytał.

— Grzyby sprzedają — roześmiał się kierowca. — Jeszcze nieraz spotkamy po drodze takich handlowców. Kierowcy często kupują od nich grzyby czy jagody, bo to i świeżutkie, i taniej niż w sklepie.

— Sprytni dzieciaki — pokiwał głową kapitan.

— A w mieście to gorsze? — kierowca chętnie podtrzymał rozmowę. — Mój Rysiek trzy roczniki „Boksu“ na makulaturę mi opylił, jak mu na kino zabrakło. My- ślałem, że uszy poobrywam smarkaczowi, ale kazanie mi jeszcze palnął, że u mnie papier bez użytku leży, a książek nie ma na czym drukować- Dwanaście lat, a taki wyszczekany!

Dłuższą chwilę opowiadał o swoim synu, najwyraźniej bardzo z niego dumny. Później rozmowa zesła na samochody i magnetofony

— konik kapitana — i droga upłynęła niespodziewanie szybko.

Pierwszymi zwiastunami końca podróży byli nadjeżdżający z przeciwka chłopcy na rowerach z bagażnikami objuczonymi wielkimi, podwójnymi bochnami chleba.

— Miasto blisko — wyjaśnił kierowca. — Każdy wiezie chleb na dwa, trzy dni, żeby codziennie nie jeździć.

Potem po prawej stronie mignął cmentarny mur, po lewej przesunął się wysoki, dymiący komin spółdzielni mleczarskiej.

Jeszcze most i pod kołami zadudniły kocie łby zambrowskiego rynku.

— Wsiądę tutaj i przejdę kawałek pieszo — powiedział

Jacyna. — Zaparkujcie gdzieś w pobliżu, potem możecie pójść cos zjeść. Mniej więcej za półtorej godziny wrócę, może za dwie.

Wysiadł, przeciskając się przez gromadkę czarnowłosych Cyganiąt, które dłubiąc w nosach otoczyły Fiata zwartym kręgiem.

Nie miał ochoty podjeżdżać pod sam sklep; milicyjny wóz musiałby obudzić czujność

Kluczyńskiego, a kapitan jednak liczył trochę na ewentualny efekt zaskoczenia. Poza tym nagła wizyta warszawskiej milicji u ogólnie znanego właściciela komisju wywołałaby niewątpliwie falę plotek i domysłów w całym niemal miasteczku; tego również należało uniknąć.

Kapitan krążył więc cierpliwie wąskimi uliczkami, by po kilkunastominutowym dreptaniu odnaleźć wreszcie wielki, kolorowy szyld: „Sławomir Kluczyński — Komis”.

Zatrzymał się przed wystawą. Czego tam nie było! Krzykliwe kolorowe bluzki sąsiadowały z wielkimi radzieckimi lalkami.

Aparaty fotograficzne, długopisy, zapalniczki, sztuczna biżuteria, jakieś kosmetyki, żyłki, drobiazgi zalegały każdy centymetr wystawy. Na samym środku spoczywał dumnie wielki, złoty puzon.

Pewnie jakiś strażak go tu przyniósł — pomyślał rozbawiony kapitan i nacisnął klamkę.

Zadźwięczał dzwonek nad drzwiami. Dwie uczennice z wypiekami na twarzach oglądające żółtą bluzkę nie podniosły nawet głów.

Za to najwyraźniej znudzony sprzedawca ożywił się i odpowiadając na powitanie wyszedł kapitanowi naprzeciw.

Był to zażywny pan o małych, wesołych oczkach, zupełnie łysy.

—Chciałbym kupić dobrą gazową zapalniczkę — rzekł Jacyna, wodząc wzrokiem po uginających się od towarów półkach.

— Proszę uprzejmie — Kluczyński położył na ladzie kilka niklowanych cacek. — Mam japońskie, angielskie, francuskie, pan będzie łaskaw obejrzeć.

Tymczasem szepczące coś gorączkowo uczennice zdecydowały się widocznie. Jedna z nich wyjęła portmonetkę ruchem pełnym determinacji i odliczyła kilka czerwonych banknotów. Kupiec zgarnął je do szuflady, zręcznie zapakował bluzkę w papier i wręczył dziewczętom. Znowu zadźwięczał dzwonek.

Jacyna rozejrzał się jeszcze raz po pu-stym sklepie i odsuwając na bok zapalniczki rzekł:

—Proszę mi wybaczyć... Nie będę nic kupować, chciałem po prostu uniknąć niezdrowej sensacji wśród pańskich klientów czy sąsiadów. Sądziłem, że lepiej będzie porozmawiać w cztery oczy. Jestem z milicji.

Kluczyński obejrzał dokładnie legitymację kapitana i wysoko podniósł brwi.

—Aż z Warszawy? Ale proszę bardzo, u mnie zawsze wszystko jest w porządku.. Doceniam jednak pańską dyskrecję i dziękuję.

Co życzy pan sobie kontrolować?

—Nie, nie chcę niczego kontrolować. Nie jestem inspektorem PIH-u. Interesuje mnie coś zupełnie innego.

— Co mianowicie?

— Znaczki.

—Znaczki? — brwi Kluczyńskiego uniosły się jeszcze wyżej. —

Znawkami handluje „Ruch“, nie ja.

—Ale pan je zbiera.

—No tak, zbieram — machinalnie odpowiedział kupiec, lecz ocknął się zaraz: — Proszę pana, czy pan sobie ze mnie żartuje?

—Ależ skąd, to bardzo poważna sprawa — powiedział z naciskiem kapitan. — Nie ma pan nawet pojęcia, jak bardzo...

Kluczyński spojrzał na niego badawczo, a potem wzruszył ramionami.

—Przejdźmy więc do mieszkania, jeżeli to aż tak poważna sprawa; zamknę tylko sklep.

Wywiesił na wystawie tabliczkę „Przerwa obiadowa“ i przekręcił klucz w zamku. Przez drzwi ukryte za wiszącą w głę-

bi sklepu kotarą przeszli obaj do dużego, jasnego pokoju. W

porównaniu z przeładowanym barwnymi przedmiotami sklepem sprawiał on nieco ponure wrażenie, pogłębione jeszcze widniejącą za oknem kratą. Umeblowanie stanowiły dwie szafy z książkami i klaserami, fotele obite skórą, duży telewizor i okrągły stół, na którym stało kilka brudnych talerzy.

— Przepraszam bardzo za ten nieporządek — zakrzętnął się Kluczyński. — Rozumie pan, kawalerskie gospodarstwo...

Szybko zebrał talerze i wyniósł je przez drugie drzwi do dalszej części mieszkania. Po chwili wrócił z buchającym parą czajnikiem-

— Napije się pan herbaty? — zapytał. — Nie proponuję żadnego alkoholu, żeby nie wyglądało to na próbę przekupstwa, ale dobra herbata nikomu jeszcze nie zaszkodziła.

— Chętnie się napiję, jeżeli nie sprawi to panu kłopotu. —

Jacyna wziął do rąk filiżankę; chwilę delektował się cierpkim, aromatycznym płynem.

— Od jak dawna zbiera pan znaczki? — spytał niedbale.

— Od dość dawna, prawdę powiedziawszy zacząłem już przed wojną. Część zbiorów przypadła w czasie okupacji, ale kilka albumów udało mi się ocalić. Stały się załączkiem nowej kolekcji.

— Czy ma pan jakieś cenne okazy?

— Owszem, mam trochę ładnych rzeczy — odparł Kluczyński niepewnie. — Ostatecznie jak się zbiera przez tyle lat...

— Tak, tak, sam kiedyś zbierałem — pokiwał głową kapitan. —

Zarzuciłem później to hobby, ale pozostał mi duży sentyment do znaczków- Pamiętam te emocje, te wymiany... Oczywiście nie śmiałybym nawet porównywać mojej kolekcji z pańską. Z pewnością obraca się pan wśród wytrawnych filatelistów, mających poważne, cenne zbiory...

— Czy ja wiem? To zależy od punktu widzenia. W gruncie rzeczy naprawdę cennymi można nazwać chyba tylko zbiory królowej angielskiej.

— No, bez przesady — uśmiechnął się kapitan. — Królowa to królowa, kolekcję ocenia się w odniesieniu do możliwości zbieracza. O, na przykład taki Zamiarowicz ma w znaczkach ładny kawał grosza.

— Zna pan Zamiarowicza? — zdziwiony Kluczyński odstawił

filiżankę na stół. — Wprawdzie nie widziałem nigdy na oczy ani jego samego, ani jego znaczków, znamy się wyłącznie z korespondencji, ale nigdy też nie pisał mi o żadnych nadzwyczajnych cudach.

A jak właściwie zaczęła się ta wasza korespondencyjna znajomość? ,

—Poszukiwałem kiedyś czegoś i dałem ogłoszenie w

„Filateliście“. Odpowiedział mi i tak zaczęliśmy korespondować. Czy mógłbym dowiedzieć się wreszcie, dlaczego pan mnie o to pyta?

— Zamiarowicz nie żyje — sucho rzucił Jacyna.

—Niemożliwe! — kupiec zerwał się z fotela, ale zaraz usiadł, opuszczając bezwładnie ręce.

— A więc dlatego nie odpisywał na mój ostatni list...

Wyjął z kieszeni paczkę „winstonów“, rozerwał celofan i zreflektowawszy się podsunął

papierosy kapitanowi. Zapalili.

— Teraz sobie przypominam — powiedział cicho — że Zamiarowicz pisał mi kiedyś o swej wadzie serca. Nie przywiązywałem do tego specjalnie wagi, bo tylko raz o tym wspomniał i tak jakoś mimochodem... A przecież nie był jeszcze stary...

— Nie, to nie wada serca — pokręcił głową kapitan. —

Zamiarowicz został zamordowany.

— Ktoś go zabił? Dlaczego? Kto?

— Sam chciałbym to wiedzieć. A dlaczego? Z mieszkania zginęła tylko jedna rzecz: mały zielony album, zawierający znaczki o wartości przeszło 160 tysięcy złotych.

— To on miał aż tyle? Jezu! A ja naiwny szacowałem jego zbiory na jakieś dwadzieścia — dwadzieścia pięć tysięcy!

— Więc widział je pan? — wpadł mu w słowo Jacyna.

— Ależ nie! Po prostu wymienialiśmy znaczki, pisał mi, co ma i co go interesuje; na tej podstawie mogłem się z grubsza zorientować.

— Widocznie ukrywał przed panem fakt posiadania cennych znaczków, może był wyjątkowo skromny.

— Wprost przeciwnie, chwalił się nieraz wartościowymi nabytkami. Nie były to jednak rzeczy aż tak drogie. Zupełnie nic z tego nie rozumiem.

— Czy ma pan listy Zamiarowicza? — zapytał obojętnym tonem kapitan, rozglądając się po pokoju.

— Nie, niszczyłem je po sfinalizowaniu wymiany. Nie lubię przechowywać starych listów — Kluczyński rozpiął kołnierzyk. — Teraz rozumiem, podejrzewacie mnie o to morderstwo...

— Na razie podejrzewamy wszystkich, czyli nikogo. Co robił pan drugiego sierpnia po południu?

— Czy ja wiem? — zamyślił się kupiec. — Chyba byłem w sklepie... Ach, nie! Chorowałem trochę, leżałem w łóżku. Sklep był zamknięty. O szóstej pielęgniarka przysłała zrobić mi zastrzyk. Później zamówiłem międzymiastową — dzwoniłem do brata, który mieszka w Gdańsku. To się da łatwo sprawdzić.

— Sprawdźmy — Jacyna wydobył notes. — Ma pan samochód, prawda?

— Tak, mam Warszawę, ale chyba od dwóch tygodni jest w generalnym remoncie. Mogę podać adres warsztatu. Panie kapitanie, porozmawiajmy jak rozsądni ludzie. Widzi pan chyba, że nie bieduję. Czy rzeczywiście muszę aż mordować ludzi dla zdobycia pieniędzy? Gdybym nawet potrzebował gwałtownie większej sumy, znalazłbym lepszy sposób. Wszelkie kombinacje finansowe są ostatecznie mniej ryzykowne niż zabójstwo.

— Możliwe — uśmiechnął się kapitan. — Ale rozumie pan chyba, że mam obowiązek sprawdzenia każdego drobiazgu.

Wstał i przeszedł się po pokoju. Przystanął przed szafą, chwilę oglądał książki, a potem podszedł do okna.

— Potężne kraty — mruknął. — Siedzi pan tu jak w fortecy.

Kluczyński rozłożył ręce.

— Mieszkanie łączy się ze sklepem, a to przecież parter.

Wstawiłem te kraty zaraz na samym początku i widzi pan: sąsiadów już dwa razy okradli, a u mnie nic.

— Jaki charakter miała pańska korespondencja z Zamiarowiczem? Czy dotyczyła tylko tematów związanych z fila-telistyką?

—To aż śmieszne, panie kapitanie, ale nigdy nie korespondowaliśmy o niczym innym. Raz tylko Zamiarowicz napisał, że dokucza mu serce. Jeżeli o mnie chodzi, nie odczuwałem potrzeby zwierzeń przed obcym w gruncie rzeczy człowiekiem;

on widocznie myślał podobnie. W każdym razie widzę teraz, że właściwie nic o nim nie wiem. Nie wiem, jak wyglądał, czy miał żonę i dzieci... Wiem tylko, jakie miał znaczki.

—Pamięta pan, jakie miał znaczki? — ożywił się Jacyna. — To chyba niemożliwe!

—Oczywiście wszystkich nie pamiętam — odpowiedział

Kluczyński. — Po prostu zaznaczałem sobie w katalogu znaczki, o których wiedziałem, że je ma. To bardzo ułatwia wymianę.

—I mógłby pan odtworzyć na tej podstawie zbiory Zamiarowicza?

—Całych na pewno nie, ale przynajmniej znaczną ich część.

Kapitan milczał przez chwilę, kreśląc w notesie esy-floresy.

— Mam do pana wielką prośbę — powiedział z wahaniem. — Czy mógłby pan wypisać numery znaczków, które ma pan zakreślone, i przesłać do Warszawy? Bardzo ułatwiłby mi pan pracę.

—Chętnie panu pomogę. Zajmę się tą sprawą jeszcze dziś wieczorem.

—Z góry bardzo dziękuję. — Jacyna wstał i wziął do ręki płaszcz przewieszony przez oparcie fotela. — To na razie wszystko. Do widzenia.

Podali sobie ręce i kapitan odprowadzany przez Kluczyńskiego przeszedł do sklepu. Szczęknął zamek. W tej samej chwili jakaś potężnie wyglądająca kobieta odepchnęła Jacynę i wpadła do środka, wlokąc za sobą dużą walizę.

—Co to za porządki! — wybuchnęła. — Towar przyniosłam, a tu sklep zamknięty, gości pan przyjmujesz!

Kluczyński mrugnął do niej, wskazując wzrokiem plecy wychodzącego kapitana.

Jacyna dopił kawę i odsunął od siebie filiżankę. Wielkimi literami napisał na kartce: NIKT NIC NIE WIE.

Niesamowita historia — pomyślał. — Żeby nikt nie umiał nic konkretnego powiedzieć o człowieku, który nie mieszkał'

przecież w pustelni, tylko w milionowym mieście, normalnie pracował, miał żonę i dom, prowadził

spokojny, uregulowany tryb życia. Nikt nie znał go bliżej, nikt nie utrzymywał z nim bliższych kontaktów. Nawet rodzina żony...

Wyjął z teczki protokół przesłuchania Krystyny Adamiakowej i rozłożył go na biurku. Przebiegł jeszcze raz wzrokiem dobrze znaną sobie treść:

W 1946 roku odnalazłam w Warszawie moją siostrę, Irenę.

Wtedy też poznałam jej męża, Andrzeja Zamiarowicza. Był on kreślarzem i — o ile mi wiadomo — pracował w tym zawodzie bez przerwy do dnia śmierci. Nie kontaktowałam się z nim zbyt często, ponieważ nie lubił mnie ani mego męża, czemu od czasu do czasu dawał wyraz. Mogę tylko powiedzieć, o nim, że zbierał znaczki pocztowe i była to jego jedyna pasja życiowa.

Nie miał żadnych innych zainteresowań, a ponieważ był

pedantem, człowiekiem oschłym i niemiłym w obojętności, małżeństwo mojej siostry nie układało się najlepiej. Nie potrafię jednak udzielić bardziej szczegółowych informacji na ten temat. Nic mi też nie wiadomo o wartości zbiorów Zamiarowicza. W dniu zabójstwa byłam z mężem i znajomymi w teatrze; bezpośrednio po zakończeniu spektaklu udaliśmy się wszyscy do restauracji „Kaukaska“, gdzie bawiliśmy się do godziny pierwszej. _ Nie potrafię powiedzieć, co robił w tym czasie mój syn,

Krzysztof, ale stanowczo twierdzą, że nie mógłby on popełnić tego strasznego czynu. Krzysztof znał Zamiarowicza o wiele mniej, widywał go bardzo rzadko —

wyłącznie w czasie ważniejszych uroczystości rodzinnych. Od blisko roku nie kontaktowali się wcale. Podkreślam, że nie miał żadnego powodu do zamachu na życie nieznajomego w gruncie rzeczy człowieka. Wyjaśniam także, iż razem z moim mężem wpłaciliśmy synowi wkład na mieszkanie spółdzielcze i opłacamy mu czynsz, światło oraz obiady w stołówce. Na inne potrzeby zarabia sam — udziela lekcji muzyki, pracuje w spółdzielni studenckiej itd.

Dalej następowały nazwiska i adresy osób, z którymi Adamiakowie spędzili wieczór. Wszystkie sprawdzono — zeznania potwierdziły się. Protokół przesłuchania Grzegorza Adamiaka zawierał dokładnie to samo. Ogólnikowe, suche stwierdzenia, żadnych faktów, żadnych punktów zaczepienia, nic konkretnego.

Sprawa wyglądała coraz dziwniej. Nikt nie utrzymywał z Zamiarowiczem bliższych kontaktów, a jednak ktoś doskonale wiedział, gdzie ukryte są najcenniejsze znaczki. Spokojny, systematyczny kreślarz, prowadzący uregulowany tryb życia, miał wroga, który go szantażował... Coś się w tym musi kryć. A może chodziło o alimenty? Żona jednak stanowczo wyklucza taką możliwość. I jeszcze jeden niepojęty fakt: filatelista ukrywający skrzętnie chlubę swych 'zbiorów — najcenniejsze znaczki. Jacyna powrócił do hipotezy sprzed podróży do Zambrowa. Znaczki musiały być kradzione i szantaż mógł być z tym związany.

Wielkimi literami, jakby pragnąc zyskać na czasie, Jacyna zapisał: PODSTAWA SZANTAŻU — KRADZIEŻ ZNACZKÓW. Po chwili namysłu ze złością dorysował obpk wielki znak zapytania. Przez następne kilka minut zapełniał kartkę tłumami kotów siedzących tyłem. W końcu na papierze pojawiły się dwa nazwiska: Kluczyński i Adamiak.

Kluczyński. Bogaty sklepikarz, właściciel świetnie prosperującego komis. Czy opłacało mu się mordować człowieka dla stu sześćdziesięciu tysięcy złotych? Chyba że chodziło o same znaczki, nie zaś o ich wartość rynkową. Jest tylko jedno „ale“ — musiałby znać Zamiarowicza i wiedzieć, gdzie ukrywa zielony album.

Przypuśćmy, że wiedział... Zbrodnia została starannie zaplanowana, nie ulega wątpliwości.

O godzinie osiemnastej Kluczyński leżał w łóżku, co potwierdziła pielęgniarka; o dziewiętnastej rozmawiał

telefonicznie z bratem. Później mógł oczywiście pojechać do Warszawy swoim lub pożyczonym samochodem. Droga zajęłaby mu maksimum dwie godziny. Choroba także mogła być symulowana, chociaż to nie takie proste. I co dalej?

Około dwudziestej drugiej puka do mieszkania Zamiarowicza.

Wchodzi, rozmawiają przy herbacie; w trakcie rozmowy podrzuca truciznę do filiżanki gospodarza... Później zabiera zielony album, zaciera wszystkie ślady i wraca do Zambrowa.

Teoretycznie jest to możliwe, ale... cała ta konstrukcja opiera się na domysłach. Brak alibi to poszlaka, nie dowód.

Teraz Krzysztof Adamiak. Jakoś nie bardzo pasuje do tej sprawy. Czy będąc w zdecydowanie złych stosunkach z Zamiarowiczem mógłby odwiedzić go o tak późnej porze, a w dodatku jeszcze pić z nim herbatę? Musiałby też świetnie znać kolekcję wuja i orientować się w jej wartości. Ale przecież od roku u niego nie bywał, przedtem zaś — tylko sporadycznie. I czy posłużyłby się trucizną? Prędzej chyba czymś twardym.

Chociaż kto go tam wie... W każdym razie jest podejrzany. Taki młody człowiek ma mnóstwo potrzeb finansowych, których nie jest w stanie zaspokoić.

On także nie ma alibi. Ale planując zbrodnię z pewnością stworzyłby sobie jakieś

zabezpieczenie — na przykład podstawiliby kilku kolegów, którzy by poświadczyli, że spędził z nimi wieczór.

Kapitan obejrzał całkowicie już zabaz- graną kartkę, zmiął ją i cisnął do kosza.

Ktoś więc szantażował Zamiarowicza, a później zabił go, pozbawiając się zarazem stałego źródła dochodów. Przecież to nielogiczne. Wystarczyło tylko zażądać większych sum albo po prostu określonych znaczków. Chyba że Zamiarowicz zbuntował

się i zagroził milicją... Ale co ten człowiek mógł mieć na sumieniu?

Przez uchylone drzwi zajrzał sierżant Pawlak.

—O, jest obywatel kapitan — ucieszył się. — Nadeszła odpowiedź z Zambrowa; Kluczyński nie miał ostatnio specjalnych kłopotów finansowych. Przynajmniej nikt z jego znajomych w Zambrowie i w Białymstoku nic o tym nie wie; władze finansowe też nie.

— A co z Adamiakiem? — niecierpliwie zapytał Jacyna.

—Mało wychodzi z domu, przeważnie po zakupy i wieczorem do „Stodoły“. Chodzą za nim Pszczółka i Bielak — najlepsi wywiadowcy, takich na pewno nie wykołuje. Raz przyszło do niego kilku kolegów, wie obywatel kapitan, tacy z długimi włosami, ale chyba nie hippiesi, bo czyści. Całą siatkę piwa przydźwigali. Później przez kilka godzin z mieszkania dolatywało jakieś straszne trąbienie i walenie w bębny. Bielak lubi te różne jazzy

i zna się na tym; mówił, że oni bardzo dobrze grają.

— Chyba ma rację — mruknął kapitan.

— Przyszła jeszcze przesyłka od Kluczyńskiego — sierżant wyjął z teczki dużą brązową kopertę.

Jacyna rozerwał sztywny papier. Ze środka wypadł plik kartek zapisanych maczkiem.

—Numery według katalogu Zumstei- na — odczytał kapitan przeglądając je pospiesznie. — Sporo tego. Podzielone według krajów. Kluczyński machnął kawał roboty. Jednak dobrze wiedział, co ma Zamiarowicz. Oczywiście, jeżeli 'jest winny, na nic się nam ten wykaz nie przyda. Jeżeli jednak nie... W

każdym razie sprawdzić można. Jadę zaraz do Za- miarowiczowej.

Na stole piętrzył się stos albumów. Kapitan wertował je, wodził ołówkiem po wykazie i katalogu, przecierając co pewien czas spocone czoło chusteczką. Pod sufitem wisiała chmura papierosowego dymu.

— Ależ pan nakopcił, panie kapitanie — Zamiarowiczowa zajrzała przez uchylone drzwi.

Odsunęła firanki i otworzyła okno na oścież. Wraz ze świeżym powietrzem napłynął do pokoju hałas dochodzący z podwórza.

Przenikliwe wrzaski rozbawionych dzieci, szczekanie psów i rżenie silnika stojącej przed domem Syrenki zmieszały się w niesamowity cocktail dźwiękowy. Radia i telewizory chrypiały z dziesiątków

okien. Jacyna skrzywił się, jakby rozboleła go zęby.

— Znalazł pan coś? — zapytała kobieta, stawiając na stole pustą popielniczkę.

— Jak dotąd wszystko się zgadza. Wygląda na to, że z tych albumów nic lub prawie nic nie zginęło. A przecież są tu miejscami ciekawe i dość wartościowe okazy. Widocznie morderca spieszył się albo chciał zdobyć tylko zielony album i na innych znaczkach mu nie zależało. A może po prostu nie znał

tych zbiorów i nie wiedział, gdzie ma szukać?

Za oknem przenikliwie brzęknęła tłuczona szyba. Po chwili kobiecy wrzask zagłuszył wszystkie

inne odgłosy.

Zamiarowiczowa opadła na fotel i ścisnęła palcami skronie.

— Ciągłe te krzyki... — szepnęła. — Co za piekielny dom. Nie wytrzymuję już tego. Będę musiała wyjechać na jakiś czas.

Odpocząć...

Kapitan przyjrzał się jej uważnie. Zauważył bladość, podkrążone oczy, niestarannie uczesane włosy, zmarszczki widoczne pod warstwą pudru.

— Nie mogę spać — poskarżyła się. — Lekarstwa nic nie pomagają.

Jednak ją to mimo wszystko bardzo przybiło — pomyślał. — Nic dziwnego, nawet jeżeli małżeństwo nie było udane.

— Kiedy wreszcie zwróci mi pan listy mojego męża? Chciałabym uporządkować wreszcie to, co po nim zostało.

— Już chyba niedługo będę mógł je zwrócić — obiecał patrząc na nią ze współczuciem.

Ostro zadzwieczał dzwonek u drzwi.

— Pewnie praczka — kobieta wyszła do przedpokoju, skąd po chwili dobiegł szcęk otwieranych zamków.

— List polecony do pana Zamiarowicza — powiedział ktoś.

Jacyna znieruchomiał,

— Męża nie ma — odrzekła Zamiarowiczowa nienaturalnie wysokim głosem po sekundzie milczenia — Ja pokwituję.

Drzwi trzasnęły. Kapitan jednym skokiem znalazł się w przedpokoju. Śmiertelnie blada gospodyni podała mu niebieską kopertę, zaadresowaną maszynowym pismem.

— Znowu to samo — wykrztusiła z przerażeniem.

Jacyna delikatnie ujął kopertę przez chusteczkę do nosa; był

to właściwie odruch, gdyż wydawało się mało prawdopodobne, by pozostały na niej jakieś sensowne odciski palców. Uniósł ją pod światło, próbując dojrzeć zawartość.

— Nożyczki! — rozkazał krótko.

Zamiarowiczowa drżącymi rękami zaczęła bezsensownie przekładać jakieś przedmioty i kapitan zmitygował się.

— Nie ma powodu do zdenerwowania — powiedział, biorąc leżące pośrodku stołu nożyczki.

— Proszę się uspokoić. Zaraz zobaczymy, o co chodzi.

Z rozciętej koperty wypadła niewielka kartka.

TY STARY ŁOBUZIE — głosiły równe linijki maszynowego pisma.

— W TAMTYM MIESIĄCU DAŁEM CI SPOKOJ. PEWNIE MYŚLAŁEŚ, ZE TO JUZ KONIEC? PRZELICZYŁEŚ SIĘ. W TYM MIESIĄCU ODROBISZ ZALEGŁOŚCI — ZAPŁACISZ DWA TYSIĄCE. PIENIĄDZE ZAWINIESZ W PLASTYKOWĄ TORBĘ I POŁOŻYSZ JE DZIESIĄTEGO SIERPNIĄ O DZIEWIĄTEJ WIECZOREM, PRZYCIŚNIĘTE CEGŁĄ, POD SIATKĄ OGRÖD-KOW DZIAŁKOWYCH NA ULICY ODYŃCA, NA WPROST PIĄTEGO DRZEWA OD AL. NIEPODLEGŁOŚCI. TWOJA W TYM GŁOWA, ŻEBY CIĘ NIKT NIE ZOBACZYŁ. JEŻELI PIENIĄDZE ZGINĄ — ZAPŁACISZ DRUGI RAZ. I SIEDŹ CICHU, BO INACZEJ WIESZ, CO BĘDZIE. STRACISZ DUZO WIĘCEJ NIŻ DWA TYSIĄCE. MŚCICIEL.

— A więc on jeszcze nie wie o śmierci pani męża — Jacyna odłożył kartkę na stół.

Zamiarowiczowa szybko przebiegła ją wzrokiem. Odetchnęła głęboko, rumieńce wróciły jej na twarz.

—Ale się zdenerwowałam — pokręciła głową. — Nie wiem dlaczego, ale wydawało mi się, że w tym liście będzie coś...

no, coś strasznego.

— „Mściciel“! Też kabotyński pomysł! — parsknął gniewnie kapitan, oglądając stempel poczty. — Warszawa I, ale to o niczym nie świadczy. No, może dzięki temu listowi dowiemy się wreszcie czegoś więcej. Dzisiaj jest dopiero siódmy, mamy trochę czasu.

— Czy położyć pieniądze na wyznaczonym miejscu? — zapytała już zupełnie spokojnie kobieta. — Może to go zwabi?

—O nie, w żadnym wypadku — uśmiechnął się Jacyna. — Wprost przeciwnie. Bardzo proszę, by nie pokazywała się pani wcale w tamtych okolicach. Już my weźmiemy to miejsce pod opiekę. No, ale wobec tego czas na mnie.

Szybko uporządkował albumy i ustawił je na półce. Schował do teczki zawiniętą troskliwie w papier kopertę wraz z listem.

Pożegnawszy się z Zamiarowiczową zbiegł po schodach.

Przeciął podwórze, wymijając rozwrzeszczane dzieciaki, i wyszedł na ulicę. Przy krawężniku zatrzymała się akurat taksówka. Kapitan ujął klamkę.

— Tylko na Główny jadę! — krzyknął kierowca ze środka.

Nie było czasu na dyskusje. Jacyna podsunął mu pod nos legitymację służbową.

— Aha, w porządku, panie władzo — spuścił tamten z tonu. —

Jak ważna sprawa. to inna rzecz. Na Główny potem pojedę, spóźnię się, ale trudno. Trzeba przecież pomagać naszej milicji.

Taksówka ruszyła. Puszczając mimo uszu bezczelną gadaninę kierowcy, Jacyna rozmyślał gorączkowo. Zanim dojechali do komendy, miał już gotowy plan akcji. Trzeba było tylko uzyskać aprobatę szefa.

Wpadł do swego pokoju, porwał z biurka akta. i po chwili meldował się już w sekretariacie pułkownika. Konferencja trwała dość długo . Sekretarka musiała kilkakrotnie wydzwaniać do różnych in - stytucji, ale gdy obite materacem drzwi otworzyły się wreszcie, na progu stanął Jacyna z tak zadowoloną miną, że mimo woli uśmiechnęła się do niego .

Tego samego wieczoru na rogu ulicy Odyńca i Alei Niepodległości, zaraz obok drewnianego mostku przerzuconego nad rozkopanym chodnikiem, ustawino barakowóz z napisem „ ZBM

Mokotów “

Siąpił lekki deszczyk . Zmierzchało . Nie - liczni przechodnie spieszyli do domów, przeskakując przez kałuże . W kiosku „Ru chu“ senna sprzedawczyni robiła na drutach jakieś gigantyczne skarpetki, tęsknie wyczekując godziny zamknięcia. Kilka osób na przystanku autobusowym kuliło się pod lśnjącymi parasolami.

Od działek świeżo pachniało mokrą trawą; spieczona ziemia skwapliwie wchłaniała wilgoć.

Nadjechał autobus. Oczekujący otrząsnęli parasole i pospiesznie załadowali się . do środka. Nikt nie zwrócił uwagi na wysokiego mężczyznę w luźnym płaszczu który wyłonił się z za rogu. Wolnym krokiem szedł wzdłuż ogródków działkowych, osłaniając parasolem twarz przed ukośnymi falami dżdżu —

zapóźniony, pogrążony w myślach spacerowicz.

W pewnej chwili przystanął, rozejrzał się dyskretnie, a później wszedł na traw- nik, położył tuż przy siatce jakieś zawiniątko- i przycisnął je wyjętą spod płasz cza połówką cegły. Wrócił następnie. chodnik i, przyspieszając niece kroku, ruszył w dalszą drogę.

Cała ta scena odbyła się błyskawicznie. Kapitan Jacyna cofnął się nieco od okna barakowozu i

trącił w bok Pawlaka:

— Niezły aktor z porucaiika Marcinkiewicza — szepnął z uznaniem.

— To Zamiarowicz tak wyglądał? — zapytał cichutko sierżant.

— Mniej więcej. Nie trzeba było nawet zbyt dokładnej charakteryzacji, bo parasol i tak zasłania twarz, zresztą jest ciemno. Chodziło tylko o ewentualne zmylenie kogoś, kto może obserwuje to miejsce.

W ciemności pstryknął wyłącznik krótkofalówki

— Uwaga wszystkie posterunki - cicho rzekł Jacyna. -

Przesyłka już przygotowana.

Po chwili milczenia znowu odezwał się Pawlak.

— Więc jednak szantażysta nie mógł zamordować.

— Oczywiście, że nie. Ale wie o Zamiarowiczu coś, czego my nie wiemy.

— Zapaliłbym sobie ...

— Ani mi się ważcie ! Barakowóz musi wyglądać na pusty.

Pawlak pokręcił w ręku papierosa , scho - wał go i z zawiedzioną miną przysunął się do okna. Ulica była już teraz zupełnie wyludniona. Od czasu do czasu światła samochodów rozjaśniały mrok, ukazując czarne od deszczu pnie drzew. Na przystanku znów zatrzymał się autobus.

Wysiadł z niego jakiś człowiek i odczekawszy, aż kierowca ruszy, chwiejnie przeszedł na drugą stronę ulicy. Rozejrzał

się, z widocznym trudem utrzymując równowagę.

— Jeżeli te on, to udaje — szepnął Pawlak.

— Ciiicho! — ściskając w ręku krótkofalówkę syknął kapitan.

Pijak jeszcze raz spojrzął dookoła i upewniwszy się, że nikt go nie widzi, wszedł na trawnik.

Stojąc przy siatce zaczął

niezdarnie rozpinać płaszcz.

— Panie kapitanie, on zwyczajnie siusia — parsknął śmiechem Pawlak.

— A niech go cholera weźmie! — zdenerwował się Jacyna. — Już myślałem, że to ten.

Załatwiwszy potrzebę pijak odszedł na niepewnych nogach, starannie omijając drzewa i ławki.

Ulica znów opustoszała.

Minuty wlokły się nelitościwie. Kapitan osowiałym wzrokiem patrzył w szybę, po której spływały sznureczki kropel. Zaczęły ogarniać go wątpliwości. Fosforyzujące wskazówki zegarka pokazywały już wpół do dziesiątej. Szantażysta się nie zjawiał.

— A jeżeli ktoś obcy przypadkowo znajdzie pieniądze? —

wyplłynął z ciemności szept Pawlaka.

— Nie wzbogaci się — mruknął kapitan. — To są banknoty wycięte z plakatu reklamowego PKO.

Deszcz coraz mocniej bębnił w drewniany dach. Pochłodniało.

Jacyna mocniej otulił się płaszczem. Siedział oparty o ścianę i obserwował pustą ulicę, walcząc z przemożną chęcią zapalenia papierosa.

— Spać mi się chce — szepnął sierżant. — I zimno tu jak w grobie. Szkoda, że nie założyłem swetra.

— Ależ baran ze mnie! — kapitan pac- nął się w czoło. —

Przecież mam gorącą kawę w termosie.

Sięgnął pod ławkę, napełnił zakrętkę i podał Pawlakowi. Sam łyknął wprost z termosu. Błogie ciepło rozlało się po całym ciele. Sierżant zaśmiał się cicho:

— Teraz już mogę siedzieć tu do rana. Dobrze, że mamy choć dach nad głową.

Nagle prostokąt okienka rozbłysnął światłem. Z łoskotem przemknął motocykl, uwożąc skuloną parę. Jego reflektor osrebrzył mokre pnie, zapalił iskierki na sieczonych deszczem kałużach i przygasł. Zapiszczały hamulce. Motocykl zawrócił; pykając silnikiem sunął wolno wzdłuż działek.

W pewnej chwili przyhamował. Z tylnego siodelka zeskoczyła kobieta i pobiegła w kierunku ogrodu. Pewnie, bez wahania sięgnęła po zawiniątko wystające spod cegły.

Wtedy zauważyła nadbiegającego wielkimi susami Pawlaka.

Szarpnęła się do tyłu, ale sierżant zdążył chwycić ją wpół.

Oboje z rozpędu upadli na trawę.

Mężczyzna na motocyklu momentalnie dodał gazu i runął przed siebie. W tym samym momencie z bocznej uliczki wysunął się radiowóz, przecinając mu drogę. Motocyklista zahamował i oparłszy nogę o ziemię brawurowo zarzucił maszynę w przeciwnym kierunku. Jednak skrzyżowanie przed nim też było już za-blokwane. Chłupotały kroki nadbiegających przez kałuże wywiadowców. Jeden z nich wychynął z mroku tuż obok i schwycił

kierownicę motocykla. Szamotali się przez chwilę, aż wreszcie nieznajomy desperacko pchnął ciężką maszynę na milicjanta i uskoczył w bok, tam, gdzie ciemniał wjazd na podwórze.

Krótki okrzyk bólu utonął w szczęku i zgrzycie giętego żelastwa. Nadbiegło jeszcze dwóch milicjantów, za nimi Jacyna.

Szybko dźwignęli motocykl i wydobyli nieruchome ciało kolegi.

Ułożyli je na trawie. Kapitan przyklęknął obok i obejrzał leżącego.

— Żyje — odetchnął z ulgą. — Uderzył głową o krawężnik i stracił przytomność; to może być i wstrząs mózgu. Wezwijcie sanitarkę, Lisiewicz! Reszta — w pogoń!

Radiowóz minął ich i zakręcił, wjeżdża jąc na podwórze. Ruszyli w tamtą stronę. Nie było to właściwie typowe podwórko, lecz po prostu duża przestrzeń pomiędzy oddzielnie stojącymi blokami. Wiele klatek schodowych, drzewa, krzaki, garaże — uciekinier miał tu doskonałe możliwości ukrycia się.

Z przeciwnej strony podwórza, od ulicy Gandhiego, nadjechał drugi radiowóz. Zakręcając powoli, oba samochody oświetlały potężnymi reflektorami cały teren. Milicjanci zaczęli przetrząsać zarośla i zakamarki. Zaglądali do klatek schodowych, śmietników, nawet do piaskownic. Jacyna zagryzał wargi.

Zdawał sobie sprawę z faktu, że rozporządza zbyt szczupłymi siłami, by móc przeszukać dokładnie tak rozległy teren.

Sknociłem akcję — myślał z wściekłością. — Pozwoliłem draniowi uciec. Trzeba będzie wezwać posiłki, jeżeli oczywiście on tu jeszcze gdzieś siedzi.

Nagle wśród krzaków zamajaczyła ludzka sylwetka. Wywiadowcy skoczyli w tamtym kierunku, ale kapitan powstrzymał ich ruchem ręki. Nadchodzący człowiek — niski, chuderlawy — niczym nie przypominał barczystego motocyklisty. Zbliżał się zresztą odważnie, ręką osłaniając oczy przed rażącym blaskiem reflektorów. Niespodziewanie wyciągnął ramiona powitalnym gestem.

— Ach, to pan kapitan kochany! — wykrzyknął radośnie. — Co za spotkanie! Bardzo się cieszę, że pana widzę!

— Znowu ten pijus Makowski — mruknął Jacyna do Pawlaka, a głośno powiedział: — Człowieku, idź sobie do domu i nie denerwuj mnie!

Pijak przystanął obrażony.

— Ooo... Dlaczego tak niegrzecznie? Przecież ja pana bardzo lubię.

—Słyszałeś dobrą radę? — wysunął się do przodu Pawlak. —

Spieprzaj do domu, ale już!

—Ja z panem nie rozmawiam — od- szczeknął się Makowski. —

Pan kapitan jest prawdziwym dżentelmenem i dlatego powiem panu kapitanowi,, gdzie się schował ten nygus.

—Jaki nygus? — wrzasnęli chórem kapitan i Pawlak.

— No ten, co go panowie gonili. Ep! Byłem tu i wszystko widziałem. On wlaźł po trzepaku na garaż i położył się na dachu.

Płaskie betonowe pudło garażu stało tuż obok. Milicjanci bez komendy rzucili się w tamtą stronę. Światło reflektorów wyrwało z mroku pochylone w biegu sylwetki i kałuże wrzące od ulewy.

— Złazić! Jesteś otoczony! — krzyknął Jacyna.

Na dachu garażu podniosła się ciemna postać. Motocyklista stał chwilę nieruchomo, namyślając się.

— Złazisz, czy mamy cię stamtąd zdjąć? — ryknął groźnie oficer.

Wtedy tamten skoczył. Całym ciężarem ciała runął na najbliższego wywiadowcę, zwalając go z nóg. Przeskoczył przez leżącego i w tym momencie sam upadł, schwytany za nogawkę.

Milicjant szepił się z nim w mlaskającym błocie; nadbiegli inni i rozdzielili walczących. Szczęknęły kajdanki.

— No, mamy oboje — kapitan otarł zalaną deszczem twarz. —

Bigosiński, nic wam się nie stało?

—Nic, obywatelu kapitanie — odkrzyknął Bigosiński, podnosząc się z ziemi. — Na szczęście tu miękko, bo trawnik skopany.

—No to ładować zatrzymanych i je- dziemy, bo ludzie się niepokoją. Jutro tę dwójkę przesłucham, niech zmiękną do rana.

Istotnie we wszystkich oknach tkwiły już głowy lokatorów.

Kilka kobiet w szlafrokach wyglądało z klatek schodowych nie zważając na tętniącą ulewę.

— A panu bardzo dziękuję, panie Makowski. Oddał nam pan ogromną przysługę; chciałbym się panu jakoś odwdzięczyć.

Makowski czknął lekko i ukłonił się wytwornie.

— Na pewno będzie okazja, panie kapitanie! Jeszcze nieraz panów odwiedzę.

— Nazwisko?

— Judziński.

— Imię?

— Edward.

— Data i miejsce urodzenia?

— 19 października 1948, Kraków.

— Gdzie pracujecie?

— W Zakładach Telewizyjnych.

Słuchając stuku maszyny do pisania kapitan spoglądał na siedzącego przed nim mężczyznę. Lustrował jego wysoką, mocno zbudowaną postać, schludnie przystrzyżone ciemne włosy i elegancką zamszową kurtkę, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że człowiek ten wcale nie wygląda na przestępcę, co więcej — może budzić sympatię swą powierzchownością. Wcisnął klawisz magnetofonu.

— Jesteście podejrzani między innymi o szantażowanie Andrzeja Zamiarowicza, kradzież motocykla, stawianie czynnego oporu funkcjonariuszom milicji i spowo-dowanie u jednego z nich ciężkich obrażeń ciała. Sporo. Co wy na to?

—
To pomyłka, panie kapitanie — zaczął tłumaczyć Judziński.

— Ja ten motor właśnie odebrałem złodziejom.

— Naprawdę?

—
Naprawdę. Zobaczyłem, że jakieś chłopaczki przy nim majstrują, więc ich odpędziłem i postanowiliśmy odwieźć ten motor na milicję.

—
To pięknie z waszej strony. Prawo jazdy oczywiście macie?

Milczenie.

—
Ja, panie kapitanie... — Judziński przełknął ślinę. — Ja jeszcze nie mam, ale dobrze jeżdżę i właśnie miałem zamiar zdawać egzamin.

—
No, egzamin praktyczny już zdaliście. Wystawię wam zaświadczenie, zgłóście się do mnie po wyjściu z więzienia.

—
Z więzienia? Za co więzienie? Za to, że chciałem cudzą własność uratować?

—
Przed kim uratować? — uśmiechnął się Jacyna. — Przed milicją?

—
Ale ja nie wiedziałem, że to milicja. Koleżanka zsiadła na chwilę, żeby poprawić pończochę, i nagle rzucili się na nas jacyś ludzie. Nie byli w mundurach; myślałem, że to bandyci.

— A więc myśleliście, że to bandyci i uciekliście, pozostawiając im koleżankę. Niezbyt pięknie.

— Nie zastanawiałem się nad tym, cc robię.

— Za to teraz lepiej zastanówcie się, co mówicie — Jacyna lekko podniósł głos. — Z kogo chcecie jelenia zrobić? Może powiecie, że radiowozów nie poznaliście?

Milczenie. Kapitan powoli zapalił papierosa, patrząc na kręcącego się niespokojnie podejrzanego.

— Napadnięty przez was milicjant ma złamaną rękę i ciężki uraz czaszki — powiedział twardo. — Radzę wam szybko zacząć mówić prawdę. To wasza jedyna szansa.

—A więc przyznaję się — Judziński zwiesił głowę. —

Szantażowałem go. Ale to nie był właściwie szantaż. Joaśka, moja dziewczyna, powiedziała, że ten Zamiarowicz w czasie okupacji wydał Niemcom swego przyjaciela. To zbrodniarz wojenny i chcieliśmy się na nim zemścić.

— Oryginalna zemsta — wycedził kapitan. — A jak wasza znajoma się o tym dowiedziała?

—Od swego ojca, który widział to na własne oczy.

— Jeżeli uważaliście, że Zamiarowicz jest zbrodniarzem wojennym, to dlaczego nie zawiadomiliście o tym organów ścigania?

Zatrzymany w milczeniu wzruszył ramionami.

— Opowiedzcie dokładnie, jak to było.

—No więc pewnego dnia — to było dawno, chyba z rok temu —

przyszła do mnie Joaśka i powiedziała, że jej ojciec wrócił do domu strasznie zdenerwowany. Zamknął się z matką w pokoju i coś jej opowiadał, ale chwilami mówił dość głośno i mimo woli

można było usłyszeć oderwane zdania. „Wyobraź sobie, że spotkałem Andrzeja Zamiarowicza“ powiedział, a matka na to:

„Niemożliwe!“ Później przez pewien czas rozmawiali cicho i w końcu ojciec Joaśki wrzasnął: „I ten łajdak ożenił się z Ireną! Ona przecież nie wie, że wydał Niemcom jej narzeczonego. Tak, wydał, trudno to nazwać inaczej!“ Mówili coś jeszcze, wreszcie matka powiedziała: „To już nie ma sensu, daj spo

kój, złamiesz jej życie; chyba lepiej, żeby się nigdy o tym nie dowiedziała“. Stary odpowiedział: „A niech to szlag trafi; na szczęście on mieszka aż na Foksal, może go nigdy więcej nie spotkam. Pomyśl: wydał własnego przyjaciela! Gdybym nie widział, nigdy bym w to nie uwierzył“. Znowu zaczęli szeptać i nic już nie można było dosłyszeć. My jednak doszliśmy do wniosku, że taki drań musi być ukarany.

Postanowiliśmy go odnaleźć. Sprawdziliśmy na Foksal wszystkie listy lokatorów i na szczęście udało się.

— Na szczęście? — ironicznie zauważył Jacyna.

Judziński zmieszał się.

— To znaczy chciałem powiedzieć, że się udało. No i wysłaliśmy pierwszy list. Zamiarowicz z miejsca pękł, nie spodziewaliśmy się, że pójdzie tak łatwo. Kiedy przyniósł pieniądze, wiadomo było, że ojciec Joaśki mówił prawdę.

— Gdzie przynosił wam pieniądze?

— Różnie. Za każdym razem wyznaczaliśmy na wszelki wypadek inny punkt.

— Dużo braliście?

— Nie, tylko tysiąc miesięcznie. Pomyślałem sobie, że lepiej mniej, ale stale. Gdybyśmy zażądali za dużo, może wolałby zgłosić się na milicję?

— I „zemstę“ by diabli wzięli?

Zatrzymany mruknął coś niewyraźnie.

— A Zamiarowicz płacił regularnie?

— Za trzecim czy czwartym razem nie zapłacił. Chciał nas wypróbować, ale szybko przypomniał nam całą sprawę i zmiękł. Odtąd nie było kłopotów.

— Aż do tej chwili.

— No tak — niechętnie przyznał Judziński, ale zaraz się ożywił. — Ten Zamiarowicz to wielki cwaniak, jednak w końcu poskarżył milicji. Myślę, że' będę mógł mu odpłacić tym samym.

Niedługo się tu z nim spotkamy.

— Chyba jednak nie — pokręcił głową Jacyna. — Zamiarowicz nie żyje. Został zamordowany.

— Ależ panie kapitanie — wybełkotał osłupiały szantażysta —

to niemożliwe! To... Myśmy nie...

— Wyprowadzić.

Kapitan odwrócił się w stronę okna. Trzasnęły drzwi.

— Oni chyba jednak nie . mają nic wspólnego z tym morderstwem — westchnął Pawlak zatrzymując, taśmę.

— Oczywiście, że nie — odpowiedział Jacyna. — Ale dowiedzieliśmy się wreszcie czegoś o Zamiarowiczu. Teraz dawajcie tu dziewczynę.

Pawlak uchylił, drzwi i skinął. Do pokoju wprowadzono zatrzymaną. Kapitan wskazał jej krzesło.

Ładna dziewczyna — pomyślał. — I taka młoda. Aż żal. Może mieć najwyżej dziewiętnaście lat. Paskudnie zaczęła dorosłe życie.

— Imię i nazwisko, data urodzenia?

— Joanna Lipkowska, 12 stycznia 1954.

— Pracuje pani?

— Nie. Zdawałam w zeszłym roku na SGPiS, nie przyjęli mnie z braku miejsc. Uczę się w domu,

— To znaczy, że chciałaby pani ponownie próbować szczęścia?

— Tak.

— Orientuje się chyba pani, że teraz nie będzie to łatwe.

— Jak to?

— Jest pani pełnoletnia — zniecierpliwiał się Jacyna — i dobrze pani wie, że współudział w szantażu i kradzieży motocykla pociągnie za sobą bardzo przykre dla pani konsekwencje.

— To wszystko nieprawda — odpowiedziała hardo. — Nie wrobiecie mnie w żadne historie. Motocykl odebraliśmy zlo-

dziejom, o żadnym szantażu nic nie wiem. Mój kolega może to potwierdzić.

Kapitan z politowaniem pokiwał głową,

— Pani kolega „pękl” po dziesięciu minutach i wszystko wyśpiewał.

— Nieprawda! Pan kłamie!

Jacyna bez słowa wcisnął klawisz magnetofonu. Z głośnika rozległ się jękliwy głos Judzińskiego. Dziewczyna słuchała chwilę i nagle zasłoniła twarz dłońmi. Jej ramiona zatrzęśły się spazmatycznie. Kapitan wyłączył magnetofon. Odczekał kilka minut, pozwalając jej się wypłakać, a potem nalał wody do szklanki.

— Proszę się uspokoić — powiedział. — Niech pani to wypije.

Lipkowska łapczywie wypila kilka łyków i po dziecięcemu otarła oczy rękawem swetra. Jacyna skinął na protokolanta.

— A teraz słucham.

Jej cicha, krótka opowieść, przerywana westchnieniami i pochlipywaniem, pokrywała się dokładnie z zeznaniami Judzińskiego.

Kapitan spokojnie słuchał.

— Pani ojciec teraz zapewne jest w pracy — przerwał jej nagle. — Czy zna pani numer jego telefonu?

— Tak, ale... — oczy dziewczyny znów napełniły się łzami.

— Proszę nam podać ten numer. Ojciec przecież nie wie, co się z panią dzieje. Na pewno jest bardzo zaniepokojony.

Wyjąkała cicho jakiś numer. Jacyna spojrzał wymownie na Pawlaka, który zanotował coś na karteczce i wyszedł. Protokolant wykręcił z maszyny wypełniony arkusz. Lipkowska podpisała się koślawo.

— Nie przeczytała pani protokołu — zwrócił jej uwagę kapitan.

— Ach, wszystko mi jedno — szepnęła. — Gorzej już być nie może.

— Myli się pani. Sąd może znaleźć jakieś okoliczności łagodzące. Niech ojciec pani weźmie dobrego adwokata.

Drzwi zamknęły się za nią.

Po chwili do pokoju wszedł Pawlak.

— Dodzwoniłem się z trudem — sapnął. — Centrala bez przerwy zajęta. Inżynier Lipkowski jest bardzo zdenerwowany. Ma samochód, więc będzie tu za kilka minut. A co do tej dziewczyny,

obywatelu kapitanie, to dałbym głowę, że ten łobuz namówił ją do wszystkiego.

— Prawdopodobnie; to przecież jeszcze smarkula, a z niego kawał cwaniaka. Widziała w nim supermana i dlatego się załamała usłyszawszy jego jąkanie.

Kapitan wyciągnął papierosy i przez kilka minut palili w milczeniu.

— No, co z tym Lipkowskim — Pawlak, zniecierpliwiony, podszedł do okna. — Powinien już być... Oho, zdaje się, że jest.

Jacyna również wyjrzał. Wczorajsza ulewa opłukała ulice, przywracając drzewom i trawnikom soczystą, świeżą zielen.

Gdzieniedzie w nierównościach chodni ka połyskiwały jeszcze wodne lusterka, wielka pokusa dla psów i małych dzieci. Przed gmach zajechał właśnie żółty trabant, z którego wygramolił się pospiesznie wysoki, siwy mężczyzna.

Zatrzasnął drzwiczki, sprawdził, czy są dobrze zamknięte i szybko wbiegł do budynku.

Na biurku zadzwonił telefon. Jacyna podniósł słuchawkę.

— Tak, tak, czekam — powiedział.

Po chwili ktoś zapukał i do pokoju

wszedł ów mężczyzna.; jego przemyślnie zaczesane do przodu siwe włosy maskowały pokaźną łysinę.

— Czy zastałem pana kapitana Jacynę?

— To ja. Słucham pana.

— Jestem Lipkowski — zaczął tamten drżącym ze wzburzenia głosem. — Magister inżynier Stefan Lipkowski. Panowie aresztowali moją córkę Joannę. To chyba jakieś nieporozumienie!

— Tak pan sądzi? — rzekł Jacyna. — Proszę jednak usiąść, czeka nas dłuższa rozmowa. Może papierosa?

Lipkowski usiadł i odruchowo wyciągnął rękę w stronę leżących na stole papierosów. Jacyna uprzejmie podał mu ogień.

— Teraz słucham pana.

— To ja pana słucham — inżynier zaciągnął się dymem i zakaszłał. — Moja córka została aresztowana, to pi'zecież jeszcze dziecko! Co się stało? Zaszła jakaś straszna pomyłka!

— Nie ma mowy o pomyłce — twardo powiedział Jacyna. — Pańska córka Joanna i jej koleś Edward Judziński podejrzani są o szantaż i kradzież motocykla; nie wspomnę już o dodatkowych sprawach, które obciążają konto Judzińskiego. Wpadli z niezbitymi dowodami, nie próbują nawet się wykręcać.

— Joasia? Joasia i Edek? — szeptał przerażony, śmiertelnie blady Lipkowski. — To przecież taki miły chłopak. Inteligentny, uprzejmy... Ale Joasia?

Kapitan wysączył z syfonu resztę wody i podsunął mu szklanekę.

Lipkowski wypił, rozlewając płyn po brodzie i kołnierzu.

— Współczuję panu jako ojcu — rzekł Jacyna. — Przykro mi, że musiałem to panu powiedzieć, ale nic nie poradzę. Pańska córka stała się nagle zbyt samodzielna.

— A kogo oni... — jęknął inżynier.

— Niejakiego Andrzeja Zamiarowicza.

— Co? — Lipkowski poderwał się gwałtownie. — To przez tego łajdaka moje dziecko jest aresztowane? Panowie, nie wiecie, co robicie, przecież to drań, jakich mało! To on powinien stanąć przed sądem!

Pawlak i Jacyna porozumieli się wzrokiem.

— Wobec tego proszę nam dokładnie opowiedzieć, co pan wie o tym człowieku.

— Dobrze, proszę bardzo. Nie chciałem robić z tego użytku, naprawdę nie chciałem! Ale teraz trudno. Nie będę go krył

kosztem mojej córki!

— A więc słuchamy — Jacyna włączył magnetofon.

— Poznałem Andrzeja Zamiarowicza jeszcze przed wojną.

Chodziliśmy razem do szkoły, do Zamojskiego. Do naszej klasy chodził też Jurek Kalina, piekielnie inteligentny i zdolny chłopak, ale jeden z największych rozrabiaczy w całej szkole.

Uczył się jednak świetnie. Szybko zwaćhaliśmy się i już w drugiej klasie stanowiliśmy zwartą, nierozłączną paczkę. Nie wyobraża pan sobie, jakie hece potrafilismy urządzać we trzech. Nasz wychowawca nie osiwiiał przez nas tylko dlatego, że w międzyczasie wybuchła wojna. Mieliśmy wtedy po siedemnaście lat.

Gdzieś na początku trzydziestego dziewiątego roku Jurek poznał Irenę Walicką. Zakochał się w niej bez pamięci, po prostu kompletnie zwariował. Irena zresztą była bardzo ładna i miła. Lubiłem ją, Andrzej Zamiarowicz też — chyba nawet bardziej niż ja. Spędzaliśmy razem cały wolny czas, chodziliśmy we czwórkę do kin, teatrów, na zabawy. Oczywiście po wybuchu wojny urwało się to wszystko, ale widywaliśmy się nadal; Jurek nawet zaczął przebąkiwać coś o ślubie. Pracowaliśmy, uczyliśmy się na tajnych kompletach, a jednocześnie działaliśmy w podziemnej organizacji.

Pewnego dnia we trzech przenosiliśmy w teczkach większą partię gazetek i czcionki drukarskie. Pamiętam jak dziś, był to ciepły, pogodny dzień — w lipcu czterdziestego trzeciego roku. Taszczyliśmy spokojnie nasze teuczki, Jurek miał pistolet. Nie powinniśmy pewnie iść razem, ale tak było nam różniej, no i pistolet stwarzał złudzenie bezpieczeństwa. Nagle znaleźliśmy się w samym środku kotła. Łapanka! Okoliczne bramy zamknięte na głucho, nie ma co marzyć o ucieczce. W ostatniej chwili zauważyłem Otwarte okienko sutereny. Wskazałem je chłopakom.

„Skacznice kolejno, ja was osłonię“ powiedział Jurek. Po sekundzie znalazłem się już w mrocznym piwnicznym pomieszczeniu. Były tam drzwi — na szczęście otwarte.

Wybiegłem. Potykając się o jakieś graty i macając ściany suną-łem długim, zupełnie ciemnym korytarzem. Wkrótce natknąłem się na schody. Zawróciłem, ale zdążyłem zrobić zaledwie kilka kroków, gdy wpadł na mnie Andrzej. „Uciekaj! — krzyknął. —

Niemcy złapali Jurka, gdy schodził do piwnicy, zaraz tu będą!“ Nie słuchając dłużej odepchnąłem go i pobiegłem z powrotem. Teraz wiem, że to było bez sensu, bo i tak nie mógłbym pomóc Jurkowi. Wtedy jednak działałem bez zastanowienia, kierując się impulsem. „Jurek złapany! Jurek złapany!“ kołatało mi pod czaszką. Wpadłem do sutereny jak bomba, co było kolejnym idiotyzmem, gdyż Niemcy mogli zastawić tam pułapkę. Uświadomiłem to sobie zresztą natychmiast, ale na szczęście w pomieszczeniu nikogo nie zastałem.

Długą chwilę wpatrywałem się w zamknięte okienko nie mogąc uwierzyć, że Jurek jest już stracony, że wpadł tak paskudnie, będąc jedną nogą na wolności. Gdyby skoczył pierwszy, żyłby tak jak ja!

I nagle zauważyłem to, na co dotychczas gapiłem się bezmyślnie. Przecież okno było zamknięte! Włosy zjeżyły mi się na głowie. Zamknąć to okno i przekręcić klamkę można było tylko od wewnątrz. Z pewnością nie zrobili tego Niemcy. Mógł

to zrobić tylko jeden jedyny człowiek, nikt inny: Zamiarowicz!

Zeskoczywszy do piwnicy zatrzaskał okienko i odciął Jurkowi drogę ucieczki.

Nie było nad czym się zastanawiać. Ruszyłem w pogoń. U

podnóża schodów potknąłem się o coś i runąłem jak długi, rozbijając kolana do krwi. Namacałem ten fatalny przedmiot.

Była to teczka Zamiarowicza, wypchana prasą. Nie mogłem jej zostawić na pastwę losu, zwłaszcza że ładunek Jurka przepadł.

Dźwigając obie teczki wkuśtykałem jakoś na schody i ostrożnie otworzyłem drzwi. Światło słoneczne oślepiło mnie w pierwszej chwili. Później zorientowałem się, że stoję w wielkiej, pustej sieni u wyjścia na podwórze. Co za ulga! Podwórze było przechodnie.

Bocznymi ulicami ominąłem rejon łapanki i zaniósłem gazetki na punkt. Tam też zdałem dokładną relację ze wszystkiego, co zaszło. Później pobiegłem na Nowogrodzką, gdzie Andrzej wynajmował pokój. Nie było go jednak w domu. Gospodyni poinformowała mnie, że spakował walizkę i wyszedł przed godziną.

A więc uciekł. Zdrada była niewątpliwa. Zrozumiałem, że do domu nie mogę wracać. Wskoczyłem więc do tramwaju i pojechałem na Stare Miasto, modląc się w duchu i klnąc na zmianę.

Chciałem zdążyć ostrzec Irenę. Było już jednak za późno; Zamiarowicz działał szybciej. Otworzyła mi pani Walicka, bardzo zdenerwowana. Opowiadała, że mniej więcej przed godziną zjawił się Andrzej. Irena przez kilka minut rozmawiała z nim w kuchni, a później pośpiesznie spakowała walizkę i powiedziała matce, że musi wyjechać na dwa lub trzy tygodnie.

Lipkowski przerwał i otarł chusteczką wilgotne czoło. Przez chwilę panowała cisza. Pawlak głośno przełknął ślinę i zaczął

szukać papierosów. Kapitan podał mu swoje, potem poczęstował inżyniera. Wszyscy trzej zapalili.

— Do domu oczywiście pan nie wrócił?

— zapytał Jacyna.

— Jasne, że nie. Przenocowałem u kolegi. Od tej chwili o niczym tak nie marzyłem jak o tym, żeby stanąć z Andrzejem twarzą w twarz. Postanowiłem zabić go przy najbliższej okazji bez względu na okoliczności. Ponieważ nie mogłem stale nosić pistoletu, sprawiłem sobie ostry

sprężynowy nóż. Niestety nie doszło do tego. Przez dwa tygodnie mieszkałem u znajomych, później koledzy przeprowadzili w moim domu dyskretny wywiad. Okazało się, że nikt o mnie nie pytał, nie było Niemców ani policji. Wtedy zrozumiałem, że Zamiarowicz nie miał zamiaru wsypać organizacji.

Chodziło mu tylko o Irenę, chciał po prostu usunąć Jurka z drogi. I trafiła mu się, draniowi, okazja! Oczekałem na wszelki wypadek jeszcze jakiś czas, później wróciłem do domu.

Niedługo potem nazwisko Jurka ukazało się na liście rozstrzelanych. W międzyczasie państwo Waliccy zmienili mieszkanie. Straciłem z nimi kontakt i od tej chwili nie miałem żadnych wiadomości o Andrzeju ani o Irenie.

— Kiedy spotkał go pan ponownie?

— Mniej więcej przed rokiem. Szedłem ulicą Foksal, gdy nagle wyszedł z bramy tuż przede mną. Poznał mnie od razu; na chwilę obaj zaniemówiliśmy. „Co za dzień!“ — powiedziałem. — „A więc tu mieszkasz“. Zaprzeczył początkowo, ale przyznał się, gdy zagroziłem, że sprawdzę na liście lokatorów. „To doskonale.

Długo już tu nie pomieszkasz“ — rzekłem czując, jak narasta we mnie niepohamowana wściekłość. Andrzej zbladł, ale u-

śmiechnął się drwiąco: „Nie podniecaj się tak“ — odpowiedział.

— „Było, przeszło, wszyscy zapomnieli. Po co rozgrzebywać na nowo stare dzieje? Co z tego będziesz miał?“ Myślałem, że dam mu w pysk; opanowałem się z trudem. „Będę miał z tego wielką satysfakcję. Wyobraź sobie, że jeszcze nie zapomniałem Jurka“.

Wtedy on uśmiechnął się jeszcze szerzej: „Za to Irena w końcu go odżałowała; jest moją żoną.

Idź i powiedz jej wszystko.

Pamiętaj tylko, że ona ma już nieco więcej niż dwadzieścia lat. Ja w najgorszym wypadku pójde siedzieć — ale co z nią? Nie mogłem na niego dłużej patrzeć, odszedłem. Opowiedziałem wszystko swojej żonie i postanowiliśmy przemilczeć całą historię ze względu na tę nieszczęsną Irenę. Jurka to by i tak nie wskrzesiło... — Inżynier ponuro zwiesił głowę.

— Gdy rozmawiał pan z żoną, pańska córka była w sąsiednim pokoju i wszystko słyszała — wyjaśnił kapitan. — Później postanowiła razem z Judzińskim zarobić trochę na tej sprawie.

— Nie wyobraża pan sobie, jaki to dla mnie cios — powoli rzekł Lipkowski. — To prawda, że trudno znaleźć dla niej usprawiedliwienie. Musi ponieść konsekwencje swego postępowania. Sprawiedliwość jednak wymaga, żeby Zamiarowicz także odpokutował.

— On już odpokutował. Został zamordowany.

Inżynier szeroko otworzył oczy. Długą chwilę siedział w milczeniu.

— Mam nadzieję, że nigdy nie złapiecie zabójcy — szepnął.

Kapitan udał, że nie słyszy.

— Co pan robił drugiego sierpnia po południu?

— Drugiego sierpnia obchodzę rocznicę ślubu. Siedziałem w domu razem z żoną, córką, Edkiem Judzińskim i co najmniej dziesięcioma gośćmi. Nie wychodziłem ani na chwilę. Każdy może to potwierdzić.

— Mam nadzieję. Proszę o nazwiska i adresy gości.

Lipkowski z namysłem zaczął dyktować długą listę, maszyna protokolanta trzaskała jak karabin maszynowy. Kapitan słuchał

nieuważnie wiedząc, że siedzący przed nim człowiek mówi prawdę. Oczywiście należy sprawdzić wszystkie fakty, ale rezultat i tak jest z góry wiadomy. A więc znów ślepy zaułek.

— Dziękuję panu, to wszystko. Proszę podpisać.

Długopis przejechał po papierze skomplikowanym zawijaszem,

— Ale co będzie z Joasią? — zapytał inżynier żałośnie.

— Jeżeli prokurator zdecyduje się zatrzymać ją do sprawy, będzie mógł pan uzyskać widzenie w normalnym trybie.

Współczuję panu, ale nic nie mogę tu zmienić.

Lipkowski wstał ociężale, uklonił się i wyszedł, powłócząc nogami. Protokolant zamknął swą maszynę i odmeldował się służbiście, Pawlak też gdzieś zniknął. Jacyna cofnął taśmę, a potem oparłszy bro

dę na rękach wsłuchiwał się w głuchy głos opowiadającego.

Mam więc portret Zamiarowicza ze wszystkimi szczegółami —

myślał. — Łajdak, zdrajca, człowiek, który od młodości nie cofał się przed niczym, byle tylko osiągnąć upatrzonego cel.

Morderca. Tak, morderca! Rozmyślnie skazał przyjaciela na pewną śmierć. Sam skończył nie lepiej. Wiem już, kto go szantażował i czym. Zabił jednak kto inny. Może mógłby to zrobić inżynier, ale Lipkowski nie dokonałby rabunku. Nie wiedział nawet, że Zamiarowicz zbiera znaczki. Chyba że coś przemilczał... Może jednak widywali się jeszcze po tym pierwszym spotkaniu na Foksal? Może — ale z pewnością nie rozmawiali wtedy o znaczkach. Zresztą inżynier najprawdopodobniej ma niepodważalne alibi. A więc kto? Kto?

Zgasił papierosa, z obrzydzeniem przełykając gorzką od nikotyny ślinę,

Za dużo pałę — uświadomił sobie. — Zszarpie do reszty zdrowie tym świństwem.

Podniósł słuchawkę i nakręcił numer.

— Poproście do mnie Pawlaka.

Po chwili drzwi skrzypnęły i do pokoju wszedł sierżant.

Kapitan wstał i przeciągnął się.

— O, do licha, zasiedziałem się, kości mi trzeszczą. No i co wy na to wszystko?

— Za mało pan kapitan ma ruchu — odparł zdziwiony Pawlak. —

Trzeba się gimnastykować.

— Ależ nie — parsknął śmiechem Jacyna. — Pytam o dzisiejsze przesłuchania.

— Ja tam myślę, że ten inżynier nie musiał truć Zamiarowicza. Jeżeli chcia? się zemścić, mógł ogłosić to, co wiedział, i już by wystarczyło.

— Oczywiście, teoretycznie macie rację. Ja zresztą uważam tak samo. Ale ludzie robią często zupełnie dziwne rzeczy, których sami nie umieją później wytłumaczyć. Nie zapominajmy, że z trzech świadków tego wydarzenia dwóch nie żyje.

Najprawdopodobniej opowieść inżyniera w ogólnych zarysach zgodna jest z prawdą — ostatecznie Zamiarowicz płacił szantażystom bez słowa sprzeciwu — ale niektóre fakty mogły w rzeczywistości wyglądać nieco inaczej.

Dlatego weźcie listę gości Lipkowskiego; trzeba wszystko sprawdzić.

— Sprawdzi się, panie . kapitanie. Ale może przy okazji poszukać jeszcze... — Pawlak urwał niezdecydowanie.

— Czego poszukać?

— No, tego Kaliny!

— Kaliny? Co .wy... Przecież on... — Jacyna uniósł wysoko brwi. — Ho, ho, sierżancie! Brawo! Nie mamy żadnej pewności, że on naprawdę nie żyje. Inżynier może nawet o tym nie wiedzieć. To jest myśl! Można go poszukać, ale najpierw trzeba zdobyć jakieś dane personalne. Chyba inżynier będzie coś wiedział albo Zamiarowiczowa. Jeżeli zresztą Kalina istotnie nie żyje, to przecież żyją pewnie jacyś jego krewni.

Przysunął do siebie telefon.

— Przepraszam bardzo, czy pan inżynier Lipkowski już wrócił?

Właśnie wszedł? To doskonale, może pani będzie łaskawa...

Halo, panie inżynierze, to jeszcze raz Jacyna. Czy zna pan bliższe dane personalne Jerzego Kaliny, to znaczy datę i miejsce urodzenia, imiona rodziców i tak dalej... Nie? Szkoda.

A nie wie pan

_ czasem, czy miał on jakichś krewnych, rodzinę? No, trudno.

Przepraszam, że niepokoiłem... Do widzenia.

Odłożył słuchawkę.

— Nic nie wie albo nie chce powiedzieć. Mówił przecież:

„Mam nadzieję, że nigdy nie znajdziecie zabójcy“ czy coś w tym rodzaju. Na pomoc z tej strony nie ma co liczyć. Pozostała jeszcze Zamiarowiczowa. Tym razem poproszę ją tutaj. A wam na razie dziękuję, sierżancie. Sprawdźcie dokładnie tych gości.

Musi się przecież znaleźć gdzieś jakiś punkt zaczepienia!

Kapitan znów przysunął telefon.

— Czy to pani Zamiarowiczowa? Dzień dobry, mówi Jacyna...

Tak, są pewne nowe wiadomości... Właśnie o tej sprawie chciałbym z panią porozmawiać. Czy mogłaby pani przyjechać teraz do komendy? Tak? To świetnie, czekam. Pokój numer 24.

Tak, tak. Do widzenia.

Jacyna ospale porządkował rozrzucone na biurku papiery, opróżnił popielniczkę.

Dochodziła druga. Napięcie towarzyszące wielogodzinnym przesłuchaniom ulatniało się powoli, zostawiając ból głowy i nieodparte uczucie senności. Tłumiąc ziewanie, kapitan wydobyl z biurka szklankę, puszkę z kawą i grzałkę. Kiedy woda zaczęła bulgotać, hojnie sypnął do niej brunatnego proszku i z lubością wciągnął charakterystyczny, przyjemny zapach.

Zapukano do drzwi.

— Wejść! O, witam panią. Proszę spo cząć, napije się pani ze mną kawy?

— Nie, dziękuję uprzejmie — uśmiechnęła się Zamiarowiczowa.

— Co za dużo, to niezdrowo; piłam już dzisiaj dwie kawy.

Podobno ma pan jakieś nowe wiadomości? Czy wiadomo coś o tych szantażystach?

— Widzi pani, to trudna sprawa i sam nie mam pojęcia, jak zacząć... —r kapitan swoim zwyczajem kreślił na papierze jakieś esy-floresy. — Przykro mi, ale będę musiał poruszyć z pewnością przykry dla pani temat.

Kobieta spoważniała.

— Słucham, proszę mówić.

— Chciałbym dowiedzieć się czegoś o szczegółach śmierci pani dawnego znajomego, Jerzego Kaliny.

— Jurka? Skąd pan wie? — Zamiarowiczowa zbladła. — To znaczy oczywiście mogę panu te stare dzieje opowiedzieć. Ale jakież one mają związek ze śmiercią mego męża?

— Wolałbym jednak usłyszeć tę historię — z naciskiem rzekł

Jacyna.

—No, jeżeli pan nalega... — Kobieta splotła nerwowo palce i urwała, zbierając myśli. — Więc dobrze. Poznałam Jurka... Ach, to nieważne, w każdym razie już na początku wojny uważaliśmy się za narzeczonych. Później razem ze swoimi ówczesnymi przyjaciółmi, Andrzejem Zamiarowiczem i Stefką Lipkowskim, Jurek wstąpił do organizacji podziemnej. Nie wiedziałabym o tym, gdyby nie przypadek.

— Cóż to za przypadek?

— Po prostu widziałam ich raz w czasie akcji, czy jak to się wtedy nazywało... — westchnęła. — Pewnego dnia byłam na Mokotowskiej u krawcowej. Oczekując przymiarki wyglądałam przez okno; to chyba było pierwsze piętro. Nagle w dole wybuchła strzelanina.

Z okien po przeciwnej stronie ulicy posypały się szyby, huk był straszny — stałam jak sparalizowana, nie mogąc zdobyć się na najmniejszy nawet ruch. Wtedy ich zobaczyłam... Biegli opustoszałą raptem jezdnią w rozpiętych, łopoczących płaszczach. Andrzej, Jurek, Stefek i jeszcze dwu innych. Jeden z tych dwóch nie znanych mi chłopców potknął się, przyklęknął, ale zaraz wstał i pobiegnął dalej, coraz mocniej tylko kulejąc.

Tamci schwycili go pod ramiona, niemal unieśli, a Jurek...

Wyjął spod płaszcza pistolet, stanął na środku ulicy, wyprostowany jak świeca, i uważnie celując zaczął strzelać w kierunku pogoni. Wydawało mi się, że stoi w isfnej ulewie kul, chciałam krzyknąć, ale krawcowa odciągnęła mnie przemocą od okna. Tymczasem strzelanina przybrała na sile, grzmotnęła

granat, potem drugi; oczyma wyobraźni widziałam już Jurka podziurawionego jak sito i chciało mi się wyć. Krawcowa przygniotła mnie do podłogi, bo nagle w naszym oknie też poszły szyby, a ja dławiałam się krzykiem i łzami... Później wszystko ucichło. Tuż pod oknem leżał w kałuży krwi żandarm, dalej drugi. Jurka nie widziałam.

Urwała, opuściła głowę; wydawało się, że płacze. Nagle wyprostowała się, oczy miała suche.

— Wieczorem przyszedł do mnie ledwie żywy ze zmęczenia.

Zrobiłam mu awanturę, zażądałam przysięgi, że nie będzie się więcej narażał. Odpowiedział z pobłażliwym uśmiechem: „Nie martw się o mnie, jestem urodzony pod szczęśliwą gwiazdą“.

Minął rok i sama zaczęłam niemal tak myśleć. Gdy go aresztowano, wierzyłam, że coś się musi stać, że ucieknie, że go uwolnią, że zdarzy się cud. Niestety, cudu nie było...

— W jakich okolicznościach go aresztowano?

— Któregoś dnia przynosili gdzieś we trzech jakieś gazetki i chyba czcionki drukarskie, nie, wiem dobrze. Była to po dobnu jakaś nagła i ważna sprawa, ratowanie magazynu przed wysypą czy coś w tym rodzaju. W każdym razie szli we trzech, chociaż podobno nie wolno im było ze względów konspiracyjnych chodzić razem. Niespodziewanie znaleźli się w środku łapanki.

Wywiązała się strzelanina. Lipkowski zginął na miejscu, Jurka aresztowano, jednemu tylko Andrzejowi udało się zbiec.

— Skąd pani wie to wszystko?

— Od Andrzeja. Przybiegł do mnie tego samego dnia i prosił, żebym natychmiast wyjechała z Warszawy. Nie wierzyłam, że Jurek mógłby cokolwiek zdradzić, ale dałam się w końcu przekonać. Ostatecznie gestapo umiało zmuszać do mówienia...

Wyjechaliśmy. Andrzej twierdził, że moim rodzicom nic nie grozi, jednak na wszelki wypadek oni także zmienili mieszkanie. Mniej więcej po miesiącu zobaczyłam nazwisko Jurka na liście rozstrzelanych. Andrzej był wtedy poza Warszawą.

Dowództwo wysłało go do leśnego oddziału. Ja przekonałam się, że mogę wrócić.

— Widywała się pani wtedy z Zamiarowiczem?

— Nie. Udało mi się znaleźć pracę w sklepie i zarabiałam na życie. Było nam wówczas bardzo ciężko. Andrzej pisywał do mnie od czasu do czasu. Dopiero później wyjechałam do niego.

Spotkaliśmy się w Płocku. Mówił, że stracił kontakt z organizacją. Handlował trochę... W międzyczasie wybuchło powstanie warszawskie. Strasznie niepokoiłam się o rodziców; Andrzej był zawsze przy mnie, opiekował się mną bardzo troskliwie... Ale po co ja to opowiadam. Jednym słowem — po wojnie wyszłam za niego.

— Nie spotykała pani nikogo z rodziny Jerzego Kaliny?

— Nie. On był jedynakiem. Jego rodzice zginęli w trzydziestym dziewiątym i został zupełnie sam. Pracował w jakimś warsztacie jako mechanik samochodowy.

Kapitan przerwał notowanie, po sekundzie wahania podniósł głowę i rzekł z naciskiem :

— W jednym się pani pomyliła. Stefan Lipkowski żyje.

Zamiarowiczowa zbladła tak strasznie, jakby miała za chwilę zemdleć.

— Nie, to niemożliwe! — wyszeptała, zaciskając kurczowo ręce na brzegu biurka.

— Zapewniam panią, że możliwe. Był tu przed godziną.

Nieprzytomnie pokręciła głową.

— Stefan szantażystą? Nie wierzę...

Przymknęła oczy, ale gdy Jacyna skoczył, by ją podtrzymać, odepchnęła jego rękę.

— Proszę mi dać papierosa — zażądała cicho, ale stanowczo; wyprostowała się i przesunęła ręką po czole, wracając do równowagi. Kapitan podał jej „klubowe“ i zapalniczkę. Wzięła papierosa, starannie go ugniotła i zapaliła.

— Przepraszam za to przedstawienie — roześmiała się z przymusem; w oczach jej pozostał jeszcze wyraz przestachu. —

Zdenerwowałam się trochę i naplotłam od rzeczy.

— Czy nie chciałaby pani zobaczyć się z dawnym przyjacielem?

— Och nie, po cóż wracać do tych strasznych czasów! Tak bardzo pragnęłam zapomnieć o tym wszystkim! Opłakałam dawno ich obu, a teraz okazuje się, że

Sefan zmartwychwstał. Może innym razem; mam już dość wrażeń na dziś, marzę tylko o tym, żeby wrócić do domu i położyć się do łóżka.

— No dobrze, dokończymy tę rozmowę kiedy indziej — przystał

Jacyna. — Mam nadzieję, że dowiem się od pani jakichś danych personalnych Jerzego Kaliny, jak na przykład data urodzenia, imiona rodziców i tak dalej.

— Niestety — wstała spokojnie, biorąc z biurka rękawiczki. —

Nie pamiętam już, na szczęście, takich szczegółów. Mówię „na szczęście“, bo zwariowałabym chyba, myśląc wciąż o tej tragedii.

Nagle wzrok jej padł na leżące przed kapitanem akta.

— Kiedy wreszcie odda mi pan listy mego męża — powiedziała z nieoczekiwaną gwałtownością, prawie krzyknęła. — Wciąż pan tylko obiecuje i obiecuje. Możecie chyba w aktach zostawić kopie. Przecież to dla mnie cenne pamiątki!

— Już niedługo otrzyma je pani z powrotem — odpowiedział zaskoczony tym wybuchem kapitan. — Może nawet jutro, ale bardzo proszę o przybycie do nas o tej samej porze.

Zamiarowiczowa skinęła głową i wyciągnęła rękę na pożegnanie. Później skierowała się do wyjścia. Jacyna zamknął

za nią drzwi i chwycił słuchawkę telefoniczną.

—Pawlak? Przed chwilą wyszła ode mnie Zamiarowiczowa.

Wyślijcie kogoś, niech jej nie spuszcza z oka.

Jacyna wszedł do swego pokoju w komendzie, przeraźliwie dusznego po upalnej nocy. Zdjął mundurową czapkę, powiesił ją na wieszaku i szeroko otworzył okno. Przez chwilę rozkoszował

się świeżością porannego powietrza, później usiadł, rozłożył

„Życie Warszawy“ i zaczął pospiesznie przeglądać tytuły.

Pochłonięty lekturą jakiejś notatki nie zauważył, że drzwi uchyliły się bezszelestnie.

—Jacyna, praś czytacie zamiast pracować! — ryknął nagle od progu gruby głos.

Kapitan drgnął, ale po chwili roześmiał się.

— Ach ty cholero, przestraszyłeś mnie!

W progu stał uśmiechnięty kapitan Antosiewicz.

—Właż, siadaj, zapal. Już po urlopie?

— Właściwie mam jeszcze cztery dni; wpadłem tylko na chwilę, dowiedzieć się, co słychać — tłumaczył Antosiewicz, roz-siadając się swoim zwyczajem na biurku. — Przyjechaliśmy trochę wcześniej, bo Hanka ma egzamin poprawkowy i chce się trochę poduczyć. Zresztą pogoda zeszła na psy. A co u ciebie?

Masz już sprawcę tego tajemniczego otrucia?

Jacyna machnął ręką.

—Guzik mam, nic się tu nie trzyma kupy.

—Nie stękaj, tylko zapal sobie i opowiadaj — Antosiewicz położył na blacie paczkę „carmenów“.

—Ho ho, co za luksus! Może dostałeś tajny awans? — kpiąco wypytywał go Jacyna, ale widząc niecierpliwość kolegi spo ważniał. Szybko zrelacjonował przebieg dochodzenia, schwywanie

szantażystów i rozmowę z Lipkowskim.

— I teraz pytanie, czy Zamiarowiczowa istotnie nie wiedziała o tym wszystkim? Czy nie wiedziała, kim w rzeczywistości był

jej mąż? — Łjkończył.

—A od kogo mogłaby się dowiedzieć? Przecież nie od inżyniera.

—Zamiarowiczowa musiały od dawna intrygować tajemnicze listy, które otrzymywał jej mąż. Dałbym głowę, że otwierała je delikatnie, a potem zalepiała ponownie. Nie zapominaj przy tym o zeznaniach Judzińskiego. Ten łobuz sam się przyznał, że posłał do Zamiarowicza list, w którym przypomniał całą historię, żeby g® — jak mówił — „zmiękczyć“. Jeżeli otworzyła akurat ten list...

—Nie udowodnisz tego nigdy w życiu — pokręcił głową Antosiewicz.

—Tak, to na pewno nie będzie łatwe — Jacyna w zamyśleniu łamał zapałkę na małe kawałeczki. — Ale założmy, że wiedziała.

Byłby to mocny motyw zabójstwa.

—A rabunek?

—Właśnie, z tym rabunkiem to bardzo tajemnicza sprawa.

Zamiarowiczowa na pewno nie musiała cgrabiać legalnej spadkobierczyni, czyli siebie. Ale w jej zachowaniu jest coś dziwnego.

—Stary, stary! Bawisz się w metafizyczne rozważania, a śledztwo leży. Nie zapominaj, że w chwili zabójstwa Zamiarowiczowa była w Busku, można powiedzieć — kawałek drogi stąd.

Ostatecznie sanatorium to nie prywatna kwatera i wszyscy są pod ciągłą kontrolą. A do tego zabiegi, badania, wspólne posiłki. Musiałaby urwać się co najmniej na cały dzień i każdy by to zauważył. Przecież na odległość go nie otruła! Mogła ostatecznie podłożyć bombę zegarową czy inną maszynę piekielną, ale bez cudów! Od dwóch tygodni była poza domem!

—Co powiedziałaś? Bombę zegarową? — Jacyna wyglądał jak obudzony ze snu. — Genialne! Bomb?!

—Nie wygłupiaj się. Na mózg ci padło od tego ślęczenia nad aktami.

—Nad aktami! No, jasne! — plół Ja

cyna. — Przecież wszystko jest tu w aktach. Jurek, ale ty masz głowę! A ja nic nie widziałem, chociaż siedziałem nad sprawą przeszło dwa tygodnie!

Rozzłoszczony Antosiewicz zeskoczył z biurka, ale Jacyna przytrzymał go mocno za rękaw. W tej samej chwili zadzwonił telefon.

—Słucham, Jacyna — kapitan wolną ręką podniósł słuchawkę. —

Jest już? Tak, czekam na nią.

Uradowany spojrział na przyjaciela.

—Przyszła Zamiarowiczowa. Zaraz sam ją zobaczysz. Chciałem jej oddać klaser, ale przy okazji oddam i listy. Siadaj i udawaj zajętego jakąś pracą. Proszę! — krzyknął w odpowiedzi na pukanie.

W progu pojawiła się Zamiarowiczowa. Wyglądała mizernie, pod oczyma miała cienie. Kapitan podsunął jej krzesło, a gdy usiadła, oznajmił:

—Mam dla pani przyjemną wiadomość.

Kobieta obejrzała się niepewnie na siedzącego pod ścianą Antosiewicza, który z kamiennym wyrazem twarzy przeglądał

jakieś papiery, stawiając na nich znaki czerwonym długopisem.

—Ciekawa jestem jaką?

—Znaleźliśmy skradziony album pani męża.

— Naprawdę? — wykrzyknęła. — Gdzie był?

—U pewnego pasera — uśmiechnął się Jacyna. Z tajemniczą miną

chwile grzebał w szufladzie. Później uroczyście położył na biurku nieduży album w zielonej o

prawi p.

—Oto on.

—To nie ten — stanowczo stwierdziła Zamiarowiczowa, a wyraz napięcia powoli ustępował z

jej twarzy. — Bardzo mi przykro, ale tamten był zupełnie inny.

—Czy jest pani pewna? — kapitan nie ukrywał rozczarowania.

—Najzupełniej.

—Szkoda, wszystko wskazywało na to, że znaleźliśmy właśnie ten, który zginął z pani

mieszkania — ze złością odsunął album na bok. — Trudno, będziemy szukać dalej. Ale przy okazji

chciałbym jeszcze panią o coś zapytać. Zdaje się, że mąż pani był wielkim pedantem? Wszystkie jego

rzeczy na pewno leżały zawsze na swoich miejscach, ustalonych przed laty?

— To prawda — westchnęła kobieta. — Strasznie się złościł, jeżeli na przykład brałam jego

długopis i odkładałam później na drugą stronę biurka. Mówił, że zrobiłam mu koszmarny bałagan, że

przeze mnie niczego nigdy nie może znaleźć.

Jacyna współczująco pokręcił głową.

— Coś takiego! Ta cecha jednak, dość uciążliwa na co dzień, może nam teraz pomóc. Czy

zechciałaby pani wyliczyć przedmioty, które zawsze leżały na jego biurku? Mam przed sobą spis

tego, co znaleziono po otwarciu drzwi. Może zginął jakiś drobiazg, coś, co rzuciłoby na sprawę

nowe światło?

— Zaraz, zaraz... Chyba nic nie zginęło, o ile pamiętam. Był tam gliniany wazonik z

długopisami, papeteria, blok listowy, gumka, pinceta. Co jeszcze? Okropny bursztynowy nóż do

papieru i popielniczka w kształcie tureckiego pantofla z wygiętym noskiem. Mąż nie palił, trzymał

w niej spinacze. Zdaje się, że to wszystko.

— Ile było tych długopisów?

— Pięć.

— Chwileczkę... — kapitan zmarszczywszy czoło wodził

ołówkiem po długim wykazie. — Czy nie zapomniała pani o niczym?

— Ach tak, przypominam sobie... Stał tam jeszcze kalendarz i drewniane pudełeczko ze

znaczkami do listów.

— Tak, teraz wszystko się zgadza — Jacyna złożył wykaz i schował do szuflady. — Jednak nic

nie zginęło.

Zamiarowiczowa zerknęła na zegarek.

— Pani się zapewne gdzieś spieszy? Wobec tego nie będę już pani zatrzymywał, chciałbym

tylko oddać listy, o które pani prosiła. Listy pani męża.

Wyjął ze sztywnej obwoluty plik listów i wręczył uradowanej kobiecie. Pochwyciła je

skwapliwie, obejrzała i zawahała się na moment. Oficer to dostrzegł.

— Czy coś się nie zgadza?

— Te dwa ostatnie są bez kopert —

odpowiedziała po sekundzie milczenia.

—Niemożliwe! — zdziwił się Jacyna.— Znajdziemy je na pewno, u nas nic nie ginie. Musiały

się widocznie gdzieś zawieruszyć, ale oddamy je pani prędzej czy później.

Zacisnąwszy usta Zamiarowiczowa wstała. Wsunęła listy do torebki i skierowała się ku

drzwiom.

— Do widzenia panom.

— Do widzenia — odpowiedzieli chórem.

— Jeszcze jedno — zawołał za nią Jacyna. — Mam nadzieję, że w najbliższym czasie nie wyjeżdża pani z Warszawy? Pytam, bo możemy potrzebować jeszcze dodatkowych informacji.

— Nie, nigdzie nie wyjeżdżam — przystanęła z ręką na klamce.

— W każdej chwili jestem do panów dyspozycji. I dziękuję za listy.

Drzwi zamknęły się z przeciągłym skrzypnięciem.

— Słuchaj, stary, po co ta cała szopka? — spytał milczący dotąd i pozornie zatopiony w pracy Antosiewicz. — Po co robisz z siebie bałwana?

— Spokojnie, Jurek, nie denerwuj się — odpowiedział Jacyna. —

Nigdy nie robię z siebie bałwana bez powodu. Po prostu chodziło mi o zdobycie pewnych informacji.

— I zdobyłeś je?

— Oczywiście. Wiem, kto jest zabójcą Zamiarowicza.

— No kto?

— Ona.

— Chyba kompletnie zwariowałaś. Wynajętym odrzutowcem przyleciała z Buska, otruła męża i po pięciu minutach wróciła.

Nikt nic nie zauważył. Doskonale to wymyśliłaś.

. — Nie, obeszło się bez odrzutowca — Jacyna wygodnie rozsiadł

się w fotelu. — Po prostu podsunęła mu coś w rodzaju „bomby zegarowej“, czyli zastawiła na niego pułapkę działającą z odpowiednim opóźnieniem. Posłuchaj tylko. Musiała dowiedzieć się przypadkowo, że jej mąż podle i podstępnie wydał Jerzego Kalinę. Prawdopodobnie otwierała listy, które otrzymywał od szantażystów, i w ten sposób zupełnie niechcący poznała prawdę. A była to straszna prawda. Łatwo sobie wyobrazić, co czuła ta nieszczęśliwa kobieta. Zaczęła rozmyślać o zemście i wymyśliła zbrodnię prawie doskonałą —

doskonałą na tyle, że plany jej mógł pokrzyżować tylko zupełnie nieprawdopodobny przypadek.

Kapitan wyjął papierosa i długo go zapalał, zerkając spod oka na zaciekawionego przyjaciela.

— Miała jednak pecha — taki właśnie przypadek się zdarzył.

Ale po kolei. Obmyśliwszy starannie swój plan, Zamiarowiczowa przez kilka miesięcy czekała na stosowną chwilę. Chwila ta nadeszła wraz ze skierowaniem do sanatorium w Busku. Trzeba jeszcze było zdobyć odpowiednią truciznę. Akonityna pasowała najlepiej do przygotowanej w najmniejszych szczegółach zbrodni; jak wiesz, jest to trucizna łatwo wchłanialna przez błony śluzowe, a śmiertelna dawka wynosi około trzech miligramów. Nic prostszego, niż posmarować nią znaczek pocztowy od strony kleju. Zamiarowiczowa wiedziała, że mąż jej jest pedantem i znaczki przeznaczone do bieżącej korespondencji przechowuje zawsze w małym drewnianym pudełeczku na biurku. Podrzuciła więc tam spreparowany przez siebie znaczek, a później spokojnie wyjechała. Teraz należało już tylko nakłonić męża, by zliżał truciznę. W tym celu zaczęła zasypywać go listami pełnymi niepokoju; zaskoczony nieco Zamiarowicz sumiennie odpisał raz, drugi, aż wreszcie trafił na feralny znaczek (było ich w pudełku chyba cztery, więc miał wszelkie szanse trafienia). Polizał go, przykleił, zacierając tym samym ślady — a w chwilę potem poczuł się bardzo źle... Dawka nie musiała być nawet duża, ponieważ chorował

na serce...

Gdy zawiadomiona przez nas Zamiarowiczowa wróciła do Warszawy, wiedziała już, że plan

się udał. Zgodnie z jej przypuszczeniami szukaliśmy naczynia, w którym podano truciznę

— nikomu nie przyszło do głowy, by odkleić z listu znaczek.

Czując się zupełnie bezpieczna, mor derczyni popełniła pierwszy błąd: poinformowała mnie mianowicie, że jej małżeństwo nie należało do udanych. Później jednak doszła do wniosku, iż lepiej byłoby zniszczyć kopertę i w ten sposób definitywnie usunąć jedyny dowód rzeczowy.

Dlatego zażądała zwrotu listów męża, będących rzekomo dla niej cenną pamiątką — czym byłem bardzo zdziwiony. Nie zapomniała też o skierowaniu śledztwa na fałszywy tor i po to właśnie wymyśliła ów niby skradziony album, pełen cennych znaczków.

Wszystko szło jak najlepiej — dla niej rzeczywiście — gdy wydarzył się nieprzewidziany wypadek. Byłem przypadkowo w jej mieszkaniu, kiedy doręczono kolejny list od szantażystów, nie wiedzących jeszcze o śmierci Zamiarowicza. Schwytaliśmy ich; w rezultacie okazało się, że Lipkowski żyje.

Tego nie wiedziała. Ze zrozumiałych względów Judziński nie podawał w swych listach żadnych nazwisk. Zaskoczona tą wiadomością popełniła drugi błąd; powiedziała: „Stefan szantażystą? Nie wierzę“. W ten sposób wygadała się, że wie, czego dotyczył szantaż. Zdradziła też podstawowy fakt

—
podejrzała inżyniera jedynie o szantaż, a przecież teoretycznie mógł on być i mordercą! Ona jednak wiedziała, kto jest sprawcą zbrodni — a od tej chwili ja wiedziałem także.

Nie mogłem tylko zrozumieć, jak zdołała jej dokonać. Dopiero twoja uwaga o „bombie zegarowej“ nasunęła mi drogą skojarzenia pewien pomysł, który postanowiłem od razu sprawdzić. W tym celu musiałem zrobić z siebie bałwana, jak byłeś, łaskaw się wyrazić, i przeprowadziłem trzy eksperymenty.

Po pierwsze: Pokazałem jej album odpowiadający opisowi rzekomo ukradzionego. Ona zaś, nie biorąc go nawet do ręki, stwierdziła, że to nie ten. Jakim cudem mogła natychmiast to orzec, będąc w tych sprawach zupełnym laikiem? Gdyby rzeczywiście interesowała się jego odnalezieniem, próbowałaby obejrzeć go z bliska, sprawdzić, czy jest w nim chociaż jeden znaczek ze zbiorów męża.

Po drugie: Zapytałem o przedmioty, ja kie jej mąż stale miał na biurku. Pamiętając nawet szczegóły takie, jak liczba długopisów, wołała jednak na wszelki wypadek zapomnieć o pudełeczku ze znaczkami.

I trzeci eksperyment: Zwróciłem jej listy męża. Ona zaś, zamiast ucieszyć się, zapytała o koperty, bardzo zresztą nie-ostrożnie. Upewniło mnie to, że chodzi jej jedynie o nalepione na nich znaczki. Dlatego musiałem zachowywać się głupio i znacząco, by zmusić ją do ostatecznego fałszywego kroku.

— Cóż to za krok?

Zadzwoił telefon. Jacyna podniósł słu-

— chawkę.

— Co, do Szczecina? Nie, oczywiście zatrzymać na najbliższej stacji, bo jeszcze- nam robi jakieś głupstwo. I bądźcie dla niej uprzejmi.

Spokojnie odłożył słuchawkę.

— Widzisz? To jest właśnie ten krok. Zamiarowiczowa straciła głowę. Spakowała walizeczkę i w tej chwili jedzie pociągiem do Szczecina. Nie wytrzymała nerwowo, postanowiła uciec.

—No dobrze — zająknął się Antosiewicz. — Ale skąd wzięła akonitynę?

— Tego się j už dowiemy bezpośrednio od niej — odrzekł

Jacyna chowając akta do szuflady.